

LUBLIN

15.IV.1963

Nr 7 (269)

ROK XXX

CENA 2 ZŁ

KAMERALNA

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

JERZY KSIĘSKI

HORYZONTY MIASTA*

Brukowane księstwo

Ide rozkolysany — zwyczajny
[przechodzień
z zaulkami pod rękę, za pan brat
[z latarnią.
Znam twe pieśni ulico! Tę o wielkim
[głodzie
i o pochodzie wielkim i z hawiry
[tango.
Znam te pieśni ulico! Uczyłaś mnie
[przecież
i w twarzach znaleźć uśmiech
[ochryply umiałem...
Ulco lat szesnastu! Najpiękniejsza
[w świecie!
Czy ty się tak zmieniłaś, czy ja
[zapomniałem.

Zaulek szcurzych snów

Uliczki skracają we mgłę,
od gzymsu do gzymsu się wloką;
— cień dźwigające domów
— oszalale bramami
— coraz brzydsze od bruków...

popękaną twarz tynków
wznoszą w górę, wysoko;
rynnny ptaki i chmury,
szczęście jak dach pochyłe.

Ze Starówki prowadzi zaulek
— tu przystanął Jan Kochanowski,
kiedy wracał samotnie z Ratusza
niosąc w dłoniach jak strofę sen
[mroczny.

Obudzony ostatni szcur
podjął wartę i marzył na jawie;
Ze uliczki cień domów udźwigną,
nie popiąże ich nikt latarniami,
bramy ciężkie z zawiasów swych wyją
i też pójda skrzypiąc zawiasami.

Powoli
noga za nogą
jak miłosierdzie boskie.

Grodzka

Nocą latarnia światłem kołysze
szorstką ulicę, moją ulicę
i niespokojnie zamyka wicher
oklennic żółtych puste źrenice.

W dzień, kolo schodków gra
[na harmonii
stary Antoni, bez nóg Antoni.
Zagłada w twarże kamieniom szarym;
drewnianym głosem tak śpiewa o niej:
Bruki twe liczę jak chlebów
[bochenki,

gdy ze mną o kulach się wleciesz.
Jesteś ulico rękawem bezrękim
i groszem, co znalazł się w świecie.

Moja ulica jest taka jak trzeba,
lepszej nie znajdziesz nigdzie.
Moja ulica skręcił do nieba,
kiedy opuścić ją przyjdzie.

Motto:

„Bo żywy student to jest

kłopot dziki,
A my, Polacy, my lubim pomniki”.
(K. I. Gałczyński)

MIASTO ma kozła w herbie, tradycje PKWN i jedyny w Polsce lokal bez kantów: kawiarnię „Ewa”. Wnętrze o kształcie kolistym. I właśnie w owej „Ewie” piłem gorącą czekoladę; od czegoż miałem zacząć gromadzenie materiału do reportażu o najmłodszym pokoleniu studentów?

STUDENTA POMNIK BEZ COKOŁU

JANUSZ ROSZKO

Fascynowało mnie na początku samo miasto z orgią neonów na principalnej ulicy, tłumem młodych ludzi i sławą stolicy Polski wschodniej. Czekając, aż gdzieś zza rogu wyłoni się owa radosna gęba stabilizacji, o której istnieniu przekonują warszawscy studenci.

Syły spokój i normalność nieco nudnawa, w której wszystko wydaje się jednakże. Młodzi ludzie chadzają w tej normalności bez studenckich czapek na głowach; być studentem w okresie stabilizacji nie przydaje splendoru. I to

Ulica kaszlu

Idzie człowiek ulicą i zdycha;
— worek kaszlu szkarlatny i szary,
od ryszotków, od strychów
[spłeniących,
od cholernej nuty człowieczej.

Idzie człowiek ulicą smutku
od fiołków i gorzkich tynków
za kamieniem wlece się kamień
i rdzewieją zegarów wnętrza...

Ogłoszenie:
Zamienie dwa stare pokoje z kuchnią
na słoneczny i wiecznie zielony
mały emmentarz wiejski.

Rynek

Znajdę dla ciebie
skrzypcową nutę
jasną jak wnętrza drzew jaworowych.
Znajdę dla ciebie
noce przed jutrem
długie i lekkie od snów kolorowych.

Znajdę dla ciebie
błyski zielone
tataraków pamięcią szumiących
o dzieciństwie, o ścieżce przed
[domem,
znajdę dla ciebie...

I kokardkę niebieską
i szum brunatnej rzeki
— a zresztą,
kiedy przymkniesz powieki
— no przymknij —
masz już to wszystko
ode mnie.

* Cykl wierszy poświęconych Lublinowi z mającego się ukazać zbiorku poetyckiego „Piekne fiołki”. Wydawnictwo Lubelskie, 1963.

w dodatku — biednym studentem. Ale czy są jeszcze biedni studenci? Tacy jak u dziadzia Prusa, szlachetni idealści, rozfilozofowani, potencjalni zbawcy ojczyzny, spuszcający na sznurku pod okna baronowych trupie czaszki i mdlejący z niedojadania? Och, żarty, wolne żarty. Lęk czekolady. Chwała lokalowi bez kantów.

Miasto jest stolicą Polski wschodniej, ma kozła w herbie, kilka wyższych uczelni, kawiarnię „Ewa”, ale nie ma pomnika studenta. Zróbmy więc pomnik studenta. Opinia publiczna reprezentowana przez bywalców

kawiarni, wsparta na tegich piórach publicystów, sporządziła już solidną dokumentację. Ma to być młody człowiek zmerkantylizowany po czubki włosów, nie posiadający idealów, nie pamiętający wojny, więc pozbawiony pojęcia o genealogii naszej rzeczywistości. Wszystko „mu wisi”, marzy o tzw. standardzie, czyli o podniesieniu tylko swojej stopy życiowej, obce mu są idee kolektywne, cele społeczne. Symbol marzeń — auto.

Nie wiem, jak to wszystko wyobrazić w bryle pomnika. Razem z autem wyjść może z tego rzeźbiarski kalambur: auto — portret. Czysty surrealizm.

W „Ewie” mój znajomy lubelski redaktor służy dodatkowymi rysami do tego konterfektu. Miał odczyt dla studentów o polityce międzynarodowej w wielkiej sali amfiteatralnej. W pewnym miejscu zrobił pauzę dla większego efektu oratorskiego. W ciszy odezwał się ktoś zbyt głośno z ostatnich rzędów: „Przebijaj!”

— Miałeś drugi odczyt — przypomniał redaktorowi adiunkt historii. Był to odczyt w gronie kameralnym. Nie przemawiał wówczas ex cathedra, ale jakoś po prostu. Studenci dogonili go jeszcze na schodach, aby dyskutować...

Obraz zaczyna się komplikować. Więc jaki jest ów student współczesny naprawdę?

KRAKOWSKIE Przedmieście, principalna ulica grodu, który został usadowiony na serze szwajcarskim; na starodawnych lochach i dziurach. Co jakiś czas ziemia nikt nie jak teatralna zapadnia. Prasa skrupulatnie rejestruje te serowarsko-teatralne efekty, mniej pisze o studentach, których jest w mieście 8 tysięcy. Ale na Krakowskim Przedmieściu ich nie widać. Czapka studencka jako studencki atrybut przestała istnieć od czasu, kiedy identyczne zaczęły nosić uczniowie liceów i techników.

Plac Litewski, centrum miasta, z żółtymi fasadami pałaców, które otrzymał w posagu Uniwersytet im. Marii Skłodowskiej-Curie, a jeszcze przedtem Zygmunt August w posagu od Barbary Radziwiłł. W tym to właśnie pałacyku Twardowski pono wywalał ducha pięknej królowej, która z tajemnych a wstydliwych przyczyn zesłała z tego świata. Nie należy



Rys. Teresa Targońska

Wasołych Świąt
Drodzy Czytelnicy!

jednak tej historii włączać do tradycji lubelskiego uniwersytetu, który liczy sobie 19 lat...

Dziwny uniwersytet: powstał w najgorętszych miesiącach 1944 roku, kiedy front przewalał się na zachodzie i trwały jeszcze walki na ziemiach polskich. Zgrupował tych nielicznych naukowców, którzy przyszli z armią. Gros pierwszych profesorów wykladało w mundurach.

Później — miejsce na polu zyski naukowej. Gdy przed 10 laty pojawił się młody historyk, aby objąć posadę adiunkta, ówczesny jowialny prorektor spytał go wprost: „Pan tu za karę, czy robić rewolucję?” Dziś pod rządami rektora Seidlera — prężna machina dydaktyczna i naukowa, wydająca własne „Annales”, które rozsyłane po całym świecie gwarantują rewanż w postaci tamtejszej literatury naukowej. W ten sposób UMCS otrzymuje rocznie prac naukowych z całego świata za niebagatelną sumę 10 tysięcy dolarów.

Jedyny w Polsce uniwersytet prowadzony na wzór Harvard, w zwanym (Dokończenie na str. 6)

ZWYCIĘSTWO SPOŁECZNEJ DOJRZAŁOŚCI

ZADANIE wydawało się nierealne. Bo niby co takiego można zrobić na wsi: wybudować dom kultury czy świetlicę bez państwowej kasy? Jak świat światem drogi bite budowało państwo, a gdy ich nie wybudowało, jeździło się w głębokich koleinach polnych dróg. Gdy były deszcze, po prostu się nie jeździło i korona nikomu z głowy nie spadła. Kiedy więc półtora roku temu Władysław Gomułka na VIII Plenum KC PZPR rzucił hasło tworzenia wiejskich komitetów Frontu Jedności Narodu — nie brakowało sceptyków i niedowiarków.

A tymczasem dzisiaj mamy już w województwie lubelskim 3.396 takich komitetów. Pracuje w nich prawie 27 tysięcy osób, zawziętych społeczników i gospodarzy swego terenu. I to nie wskutek jakiegoś tam partyjnego czy administracyjnego nacisku — 60 proc. aktywnych działaczy to ludzie bezpartyjni, 23 tysiące to chłopcy, którzy — gdy nie chcą — to nawet kijem nie zmusisz, by wyszli z chaty.

Co więc było powodem tak szybkiej aktywizacji naszej wsi, tak szybkiego powstawania i tętnienia wiejskich komitetów FJN? Myślę, że przede wszystkim wysokie już uświadomienie społeczne. A na drugim miejscu różne pilne potrzeby i przekonanie, że nawet dwóch ministrów finansów — i to każdy z osobnym skarbem państwa — nie dałoby rady tych potrzeb zaspokoić.

I to chyba jest pierwszym zwycięstwem, jakie odnieśliśmy przy powstawaniu tych komitetów. Drugie zwycięstwo liczy się już na miliony. W r. 1960 wartość czynów społecznych w województwie lubelskim — a komitety wiejskie dopiero powstawały — wyniosła 130 mln zł. w następnym już 150 mln, a w ub. 160.

Nie wszystko jednak da się przeliczyć na pieniądze. Wiadomo np., że w Bychawie zebrano społeczne pieniądze na zakup 5 telewizorów. Tu wysokość rachunku jest znana. Ale po drugiej stronie bilansu trzeba wpisać zysk, którego żaden księgowy nie przeliczy na złotówki: ludzi przed szklanym ekranem, ileś mniej wypitej wódki, ileś obejranych przedstawień teatralnych, wystuchanych prelekcji i dyskusji, obejranych filmów i meczów sportowych. Ile mniej chuligaństwa, a może nawet zbrodni — nikt nie policzy.

Pierwszym zadaniem wiejskich komitetów FJN jest współdziałanie w podnoszeniu produkcji rolnej. W samym tylko powiecie tomaszowskim ogłoszono już na ten temat 1.100 pogadanek, w powiecie janowskim prowadzi się szkolenie rolnicze w 45 miejscowościach. Rosną wiadomości fachowe chłopów, w konsekwencji zamknięcia państwa i tych samych chłopów, wyłaniają się potrzeby kulturalne, które trzeba zaspokajać. Powiatowa Rada Narodowa w Białej Podlaskiej rozdzieliła z nadwyżki budżetowej 100 tysięcy złotych na świetlice gromadzkie. Wiejskie komitety FJN powiększyły tę sumę co najmniej w dwójnasób. W położonym na skraju województwa i Puszczy Solińskiej Bilgoraju chcą budować powiatowy dom kultury, bo chociaż obecny bardzo dobrze pracuje, to przecież okazuje się już zbyt szczyplwy. Ze środków społecznych zebrano tam już 2,5 mln zł, a wiejskie komitety chętnie dokładają coraz to nowe cegiełki do wspólnej sprawy.

Nie wszystko jest oczywiście różowo malowane. W jednej z wsi powiatu krasnostawskiego komitet wiejski nie może się dogadać z ludnością i w rezultacie na tym samym placu jedni zabierają się do budowy strażackiej remizy, inni zwożą materiał na budowę świetlicy. Na 10 tysięcy nauczycieli w naszym województwie tylko 1.442 należy do wiejskich komitetów.

Ale w sumie możemy bez przesady powiedzieć, że województwo lubelskie znajduje się pod tym względem w czołówce krajowej. To właśnie zadecydowało, że w dniach 20—21 kwietnia odbędzie się w Lublinie ogólnopolska narada w sprawie działalności wiejskich komitetów Frontu Jedności Narodu. Jesteśmy pewni, że przyczyni się ona do dalszej aktywizacji tych komitetów, do ich powstania w pozostałych 159 wsiach, do rozszerzenia czynów społecznych, wśród których poczesne miejsce nadal będą zajmowały kultura i oświata.

Jerzy Dostatni

O GŁOSZENIE roku 1963 „Rokiem Ziemi Białostockiej” zobowiązuje. Organizatorzy tej imprezy liczą na godne uwagi osiągnięcia. Mają ku temu powody i pewne doświadczenia, bo na przykład obchody 900-lecia Bielska Podlaskiego zmobilizowały do czynów społecznych wszystkich mieszkańców tego miasta i powiatu. W mieście uporządkowano ulice, posadzono tysiące drzew i krzewów, odrestaurowano niemal wszystkie domy. Chłopi z okolicznych wsi wymalowali na niebiesko budynki i płoty. Kolor niebieski w Bielsku Podlaskim jest manifestacją lokalnego patriotyzmu.

Ale Białystok „urodził się” o wiele później, niż Bielsk Podlaski. Z dokumentów dowiadujemy się, że w 1581 roku wieś Białystok zbudowała własny kościółek, co miało oznaczać odseparowanie się od Wasilkowa, odległego o 8 kilometrów. Do 1661 roku włości te należały do hetmana Stefana Czarneckiego. Dopiero w roku 1749, a więc 214 lat temu, Białystok uzyskuje prawa miejskie.

W województwie białostockim jest sporo miast-jubilatów. Olecko obchodzi niedawno 400-lecie istnienia, Augustów pretenduje do 500-lecia (choć z dokumentów wynika, że miasto to założył Zygmunt August w 1561 roku, a więc dokładnie 402 lata temu). Natomiast Łomża obchodziła już tysiąclecie swego istnienia. W czerwcu obchodziliśmy pięć wieków Supraśla, którego okolice są równie piękne jak zdrowe. Sosnowe lasy i pokłady borowinowe zainteresowały już naukowców z Warszawy. W ogóle miast domagających się obchodów któregoś tam „setlecia” jest w białostockim dużo.

Wojewódzki Komitet Frontu Jedności Narodu w Białymstoku opracował program uczczenia tych wszyst-

BIAŁYSTOK W SWYM ROKU

ZYGMUNT BRZOWSKI

kich rocznie w ramach obchodów „Roku Ziemi Białostockiej”. W programie tym mówi się o potrzebie podniesienia wartości czynów społecznych ze 120 milionów złotych w roku 1962 do 240 milionów złotych w r. 1963.

Przewidziany jest plan porządkowania miast, budowy ulic i dróg, sadzenia drzew i krzewów, budowy obiektów kulturalnych i sportowych. Oprócz planu wojewódzkiego są plany powiatowe i gromadzkie.

Niedawno, bo jeszcze 10 lat temu, Białystok liczył około 60 tysięcy mieszkańców. Kikuty spalonych domów odstraszały przyjezdnych, a miejscowym przypominały o obowiązku odbudowy. Stare, wydobyte z popiołów maszyny włókiennicze odmawiały posłuszeństwa, a mimo to tkaczy podejmowali pracę na czterech krosnach. Ziemia nie chciała rodzić. W Gołdapi ilość zbieranego zboża równała się wysiewom. W sokółskim zbierano niewiele ponad 7 kwintali z hektara. Średnia wydajność w województwie wahała się w okolicach 9 kwintali. A drogi? Z Białegostoku do Warszawy jakoś się jechało. Natomiast drogi łączące powiaty z województwem były przekłniane przez kierowców.

Obecnie Białystok liczy 130 tysięcy mieszkańców. W ciągu ostatnich trzech lat zbudowano tu wiele nowych obiektów przemysłowych i kulturalnych, a między innymi wspaniały pomnik Tysiąclecia Państwa Polskiego — ośrodek telewizyjny. Dodać należy, że w planie państwowym bu-

dowę tego ośrodka widziano dopiero w latach 1970—1975. Podkreślić też trzeba wielki awans województwa w zakresie jakości dróg. Pierwsze miejsce w kraju w budowie dróg czynnym społecznym na pewno coś mówi.

Program „Roku Ziemi Białostockiej” zakłada przede wszystkim wzrost wydajności w przemyśle i rolnictwie. A więc nie samo świętowanie. Praca społeczna przy budowie ośrodka wypoczynku i sportów wodnych w Wsilkowie i w Dojlidach, praca społeczna przy budowie letniej kawiarni amfiteatru w parku zwierzynieckim, praca społeczna przy ogólnym porządkowaniu Białegostoku i miast powiatowych, nowe skwery, zieleńce, tysiące drzew i krzewów, nowe place zabaw i boisk sportowych, nowe świetlice i biblioteki — to tylko część zobowiązań, jakie przyjęło na siebie społeczeństwo województwa białostockiego. W programach wiejskich i gromadzkich mówi się o walce z chwastami, o zwiększeniu wydajności z hektara, o budowie nowych sklepów w czynnie społecznym, o porządkowaniu zagrod.

„Rok Ziemi Białostockiej” przyczyni się do ożywienia całego województwa. Działacze Frontu Jedności Narodu są przekonani, że w tym okresie uda się im zmobilizować wszystkie stowarzyszenia i organizacje społeczne. Dotychczasowe osiągnięcia w realizacji czynów społecznych są w pewnym sensie gwarancją, że „młody” Białystok zaprezentuje się należycie w Tysiącleciu Państwa Polskiego.

STARE mury Lubelskiego Zamku gościły kilka miesięcy temu uczestników Konferencji Młodej Inteligencji z 4 województw. Problemy adaptacji młodego absolwenta w terenie, sprawy zatrudnienia, stypendia fundowane stanowiły centralne punkty dyskusji młodych absolwentów pracujących na terenie Polski,

w centrum zainteresowania wielu czynników wskazują, że dostrzeżono tę szansę i że się ją wykorzystuje.

Lubelszczyzna w swoim szybkim rozwoju rolnictwa i nie znanym w swojej historii tempie uprzemysławienia jest terenem wymagającym poważnej ilości kadr, zapewniających jej dalszy rozwój. Potrzeby są znacz-

wyrażało się to dziesiętymi procenta, to już w roku 1961/62 — było ich 717, co stanowiło 27% w stosunku do zwyczajnych.

W chwili obecnej Lubelszczyzna posiada 899 tych stypendiów. Z tego 310 czyli 34,4% całej liczby na uczelniach lubelskich, pozostała zaś część w innych uczelniach, przede wszystkim w kierunkach, których nie posiadają uczelnie miejscowe.

Z tej liczby na uniwersytetach ufundowano 219 stypendiów, w wyższych szkołach technicznych 183, rolniczych 153, ekonomicznych 57, AM — 174.

Tak, jak wszystko, co podlega sprawdzeniu przez praktykę życia, ujawnia swoje mankamenty i braki, tak również funkcjonowanie systemu stypendiów fundowanych niesie z sobą pewne, acz marginalne, lecz ujemne zjawiska.

Nie będzie się miało z prawdą ocena, która obciąży winą za to organy administracji, dyrekcje zakładów czy szkół wyższych, jak również nieprecyzyjność i brak pewnych przepisów. W dążeniu do eliminacji ujemnych zjawisk towarzyszących funkcjonowaniu systemu fundowanych stypendiów konferencja sformułowała szereg wniosków.

Jednym z najważniejszych czynników w procesie integracyjnym studenta z zakładem jest ich wzajemny kontakt podczas studiów. Trochę o to podyktowała potrzebę zobowiązania fundatora do zapraszania studenta na uroczystości zakładu, ważniejsze zebrania czy konferencje. Uczestnicząc w tej przynajmniej części życia zakładu, pozna jego problemy, przyszłych towarzyszy pracy. Temu celowi służyć winny także możliwości korzystania stypendystów z ośrodków wczasowych, gdzie prowadziłby akcję kulturalno-oświatową. Zakład pracy winien stwarzać warunki dodatkowych zarobków dla stypendysty, zwłaszcza w okresie wakacyjnym, przez angażowanie go do prac na koloniach i obozach letnich. Korzystanie przez studenta w czasie studiów z pewnych przywilejów pracownika instytucji byłoby dla niego poważnym udogodnieniem i wzmacniałoby łączącą więź.

Kwestią wyzwajającą dużo namietności podczas dyskusji były sprawy mieszkaniowe. Propozycja, by stypendysta od chwili podpisania umowy znajdował się na liście pracowników oczekujących mieszkania i otrzymał je najwyżej w ciągu roku po przejściu do pracy jest sensowna, jeśli mamy eliminować zjawisko fluktuacji kadr.

Przyszły inżynier, zootechnik — obecny stypendysta, winien odbywać praktyki zawodowe w tym zakładzie, w

Wielka szansa — stypendia fundowane

KAZIMIERZ GIEROŃ

Wschodniej, studentów przygotowujących się do podjęcia pracy działaczy kultury, organizatorów młodzieżowych, przedstawicieli władz.

Kilkanaście dni temu znów zebrano się grono osób na konferencji poświęconej sprawom stypendiów fundowanych i zatrudnienia na Lubelszczyźnie. Znów dzień upłynął pod znakiem namiętnej dyskusji, wysuwania wniosków, planów.

Nasuwają się pytania, dlaczego w Lublinie, Kielcach, Rzeszowie, Białymstoku obserwować się zaczyna gwałtowne zainteresowanie tymi sprawami. Dlaczego Wydział Kultury Prezydium WRN, Związki Zawodowe, organizacje młodzieżowe ZMS, ZMW, ZSP, czynią te sprawy coraz częściej przedmiotem wspólnej dyskusji, zasięgają opinii wychowanków wyższych uczelni pracujących na prawym brzegu Wisły. Przecież od dawna wyższe uczelnie co roku opuszczało grono młodych dziewcząt i chłopców z dyplomami magistrów, z głowami pełnymi planów, z sercami rwącymi się do czynu. Osiedlali różnie: jedni na dalekiej prowincji, inni w metropolii wojewódzkiej. Praca zawodowa, codzienne troski, rodzina i czas — pozwoliły wyczerpywały energię. Lata mijały, przybywało coraz więcej siwych włosów i zmarszczek, przybywało coraz więcej niezrealizowanych młodzieńczych planów i ambicji.

Czy w tym „naturalnym”, uświęconym tradycją procesie można coś zmienić?

Wydaje się, że tak, skoro już na uczelni istnieją poważne szanse integracji studenta z przyszłym miejscem pracy, zapewnienia już na ławie uniwersyteckiej realizacji jego planów i ambicji.

Wschodnie regiony naszego kraju, a szczególnie Lubelszczyzna, z racji swych poważnych zapobiegów w rozwoju gospodarczym i kulturalnym taką szansę winny jak najszybciej wykorzystać. Namienne paszukiwania najlepszych form, stawianie tych spraw

ne, w okresie lat 1963—65 wyniosą bowiem 4.300 osób. Poważną część, 1.800 osób, na pokrycie potrzeb w humanistyce, naukach ścisłych, rolnictwie i medycynie są w stanie dostarczyć istniejące w Lublinie uczelnie: AM, KUL, UMCS, WSR — dając jeszcze poważną nadwyżkę dla województw sąsiednich. Jednakże dużą część, bo około 2.600 osób, obejmując zawody techniczne i ekonomiczne, a więc mające decydujące znaczenie w dalszym rozwoju przemysłu, należy „importować” z innych ośrodków akademickich: Warszawy, Krakowa, Łodzi. Problem jest więc bardzo poważny i przysparza wiele trosk gospodarzom terenu. Istnieją jednak możliwości jego rozwiązania.

Przed 4 laty stworzono znakomity instrument łączący interesy młodego człowieka siedzącego na ławie uniwersyteckiej z zasadniczymi potrzebami kraju. Ten społeczny mechanizm nazwany przez twórców systemem stypendiów fundowanych spełnia bowiem dwie zasadnicze funkcje: zapewnia studentowi dogodne warunki studiów, zbliżając do przyszłego miejsca pracy, a jednocześnie zapewnia państwu prawidłowe kształtowanie geografii zatrudnienia kadr z wyższym wykształceniem. Tym samym stwarza nie spotykaną dotychczas szansę zapewnienia sobie przez zakłady, przedsiębiorstwa, instytucje kadr takiej jakości i w takich rozmiarach, jakie dyktuje ich rozwój. Baczny jednak trzeba, by szansa ta nie wymknęła się z rąk, by nie przekształciła się w swoje przeciwieństwo.

Toteż w sali kolumnowej Prezydium WRN w Lublinie w dyskusji przebiegała troska o jak najlepsze i prawidłowe funkcjonowanie tego mechanizmu.

W województwie lubelskim na przestrzeni ostatnich lat obserwuje się tendencję wzrastania stypendiów fundowanych. O ile w roku akademickim 1959/60 było ich tylko 16 i w stosunku do stypendiów zwyczajnych

(Dokończenie na str. 8)

KIEDY się mówi o stosunku polskiej opinii publicznej do powstania w Getcie, ma się oczywiście na myśli opinię warszawską. A jak było na zapleczu?

Do wybuchu wojny nikt właściwie dokładnie nie wiedział, jak jest w Istocie Owszem, dochodziły wieści z Trzeciej Rzeszy, rozmawiano się nawet z wysiedlonymi Żydami, ale na ogół dodawało się po cichu: „trochę, przesady w tym wszystkim jest; trudno, nie można dopuścić do barbarii; trzeba krzyczeć”. Krzyczało się więc, ale nie za głośno.

siebie. Nie było „sportowców” i „kibiców”. Wszyscy pomieszani, z zacienionymi ustami i pięściami obserwowali każdy ruch oficera. Żołnierze sięgnęli po broń. Oficer potrząsnął głową. Nie trzeba, sam sobie da radę. Cofnął się i z całej siły kopnął młodzieńca w podbrzusze. Widzieliśmy, jak padł, jak zesztywniał. — Na, der ist schon fertig. Los. Koniec zabawy. Rozjechał się.

Mówiło się później o bohaterstwie postawie młodego człowieka, o bierności ludności żydowskiej, o solidarności wszystkich mieszkańców bez względu na narodowość. Wstrząs był straszliwy.

19 KWIETNIA

WALDEMAR BABINICZ

Pierwszą w życiu rozprawę z ludnością żydowską zobaczyłem w małym miasteczku we wrześniu 1939. Znalazłem się w tej kilkudziesięciu osadzie przypadkiem, wskutek jawnej rozbieżności zdań między Wehrmachtem a pułkownikiem Umiastowskim. Ten ostatni zapewniał iż wystarczy opuścić stolicę, przejść się spacerkiem kilkanaście lub kilkadziesiąt kilometrów, aby umknąć przed nieprzyjacielem. Wehrmacht był oczywiście szybszy, posuwał się z szybkością, która przekraczała nasze turystyczne umiejętności. Podobnie zresztą, jak w roku 1944-45, kiedy to nasi domorodni sztabowcy w małych miasteczkach rysowali punkty wypadowe ofensywy radzieckiej akurat w chwili, kiedy Czerwona Armia wkroczyła do Berlina. Wehrmacht i tym razem posuwał się z błyskawiczną szybkością.

Ludźono się, że był to wybryk jakiegoś oficera sadysty, może oddziałku maruderów, że przecież cywilizacja, że mimo wszystko naród o kulturze zachodnioeuropejskiej. Ale wkrótce stosunki się unormowały. Przyszły żółte gwiazdy, getta, zakładnicy, pojedyncze, a zaraz potem masowe mordy. Cała skomplikowana, starannie przemyślana, wypracowana w najdrobniejszych szczegółach metoda ludobójstwa.

W małych miasteczkach ludzie się znają. Piętnują z równą pogardą zacietrzewionych fanatyków — rasistów, jak i ugodowców — kolaborantów. Proletariat miejski i wiejski zajął postawę jednoznaczna: pomagano ludności żydowskiej, ale i nie pochwalano jej bierność, bezwolność, fatalistycznej Golgoty.

Otóż w małej osadzie oddział Wehrmachtu — nie SS! — zorganizował zawody sportowe dla tubylców. Ustawiono pośpiesznie kilkanaście poprzeczek na wysokości 1.80 m, oddalonych od siebie o 10 do 15 metrów, spędzono całą miejscową ludność żydowską w wieku od 10 do 80 lat i kazano jej brać przeszkody. Przy poprzeczkach stali żołnierze z potężnymi drągami. Każdego i każdą, kto nie wziął przeszkody, bito i kazano skakać ponownie. Ludność aryjska ustawiona była w szerokim kręgu. I jej powierzono zadanie: miała spełniać rolę zaangażowanych kibiców: klaskać lub gwizdać, w zależności od przebiegu zawodów. Oficer, który aranżował zabawę, udzielał pouczeń, zagrzewał żołnierzy, zaśmiewał się na widok podskakujących, pobitych, okrwawionych starców. W pewnej chwili z grupy kibiców wyszedł młody, szczupły blondynek, zrobił kilka przysiadów, przebiegł truchcikami kilkadziesiąt metrów i bez wysiłku wziął bezbłędnie trzy przeszkody. Żołnierze poklaskali, nie zorientowawszy się w sytuacji. Ale oficer wśród ciszy, jaka nagle zapanowała, zbliżył się wolnym krokiem do sportowca i zapytał dość głośno:

Sporadyczne, rzadkie zresztą wypadki buntu, ucieczki z getta, a później zgłaszanie się do ruchu oporu, były notowane z wielkim aplauzem; „wieść gminna” długo komentowała podobne wydarzenia, tworzyła legendy. W iluż to domach wyleczono się wówczas całkowicie z antysemityzmu.

— Bist du ein Jude?
— Nie, jestem Polakiem. Nie widzę jednak powodu, aby w zawodach, które nam pan tu zorganizował, miała brać udział tylko część ludności.

Młodzieniec mówił to nie przestając uśmiechać się pogodnie. Doskonale pamiętam jego wysportowaną sylwetkę, opaloną twarz, brązowe oczy, złoisty łok. Nim skończył, otrzymał ostry cios. Pejczem. Przez twarz. Raz, drugi, trzeci. Trysnęła krew. Młodzieniec stał nieruchomo. Spojrzałem odruchowo za

I nagle gruchnęła wieść o Powstaniu w Getcie Warszawskim.

Była to wiadomość na miarę największych wydarzeń światowych. Coś, jakby przystąpienie do wojny nowego mocarstwa. Natychmiast spowszedniały inne, jedyne dotychczas sprawy, zmatowiały własne kłopoty, zubożyłały audycje odbierane w zakonspirowanych piwnicach. Podawano sobie z ust do ust najbardziej fantastyczne wiadomości o stratach niemieckich, o niezwykłym bohaterstwie żołnierzy żydowskich. Niezwykłość sytuacji podkreślał fakt, iż w wielu miasteczkach jedynymi kolporterami wiadomości o przebiegu walk w Getcie byli żołnierze niemieccy, zwłaszcza ci starsi wiekiem. Widzieli oni w bohaterskim zrywie ludności żydowskiej rychły upadek Hitlera i państwa przezeń zbudowanego. W iluż to domach zapanowała naraz atmosfera podnieconego, czynnego oczekiwania, iluż to młodych ludzi opracowywało plan marszu na Warszawę, dla wspomnienia „wojska żydowskiego”. Mogliby nauczyciele tajnych kursów opowiedzieć szeroko o pogadankach dla dzieci, o pułkowniku Berku Joselewiczu, którego życiorysu uczono na gwałt, mimo braku oficjalnych instrukcji.

Dziś, kiedy do głosu dochodzą historycy, chłodno oceniając „bohaterstwo zrywy” czasu ostatniej wojny, dowiadujemy się niemało o kulisach powstania, z cennych dokumentów — pa-

(Dokończenie na str. 4)

POCHODNIE HIMMLERA

Treblinka leży na terenie powiatu sokołowskiego w województwie warszawskim. W odległości 5 km od Treblinki, wśród podmokłych łąk i bagien, na terenie wsi Wólka Okraglik, hitlerowcy założyli obóz zagłady o powierzchni 13,45 ha z 13 komorami gazowymi. Obóz podzielony był na dwie części. Treblinka I — obóz pracy założony został w 1941 r., a rozwiązany w 1944 r. Treblinka II — obóz zagłady Żydów utworzony został w 1942 r. i zlikwidowany w sierpniu 1943 r. w wyniku buntu więźniów.

Treblinka” i opublikowany został w r. 1944 w Warszawie.

W tym czasie przejechał do Treblinka Himmler i wydał zarządzenie spalania wszystkich zwłok wymordowanych. A było co palić. Nie chcieli pozostawiać śladów. Rozpoczęło się wykopywanie i wynoszenie z grobów starców, kobiet i dzieci. Gdy taki grób otwierano, wydobywał się straszny odor.

Rozpoczęła się próba palenia zwłok, która się nie udała. Okazało się, że kobiety palą się lepiej od mężczyzn. Brano więc kobiety na „rozpalkę”. Ponieważ była to praca ciężka, więc rozpoczęła się konkurencja pomiędzy grupami, która wleceń spali. Porobiono tablice i codziennie zapisywano ilość spalonych. Mimo to wyniki były słabe. Polewano trupy benzyną i tak palono. Kosztowało to zbyt drogo, a rezultat mały. Mężczyźni nie chcieli się prawie palić. Gdy zauważono z góry samolot, praca ustawała, wyciągnięte trupy przykrywano choinkami, żeby z lotu nie zauważono. Straszny to był widok, najokropniejszy jaki

TADEUSZ SOKÓŁ

MOI ŻYDZI

moich snów najpełniej z tobą spletych Jakże inny kształt miały dłonie te w śnie moje i te tylko twoje

Nie nosilem twych ksiązek Maja

IV

W miasteczku gdzie synagoga nie przeszkadzała [dzwonom kościelny płaczyna hodował gołębie kawkom podbił młode powiesił się Cherubin na strychu Po prostu bez poetyckiej pozy jak kawał szmaty powiesił się na sznurze od bielizny

Co ja z ciebie zrobiłem Jezu kim ja jestem dokąd zmierzam matka ręce moje składała uczyła do ciebie paclerza

Jezu Jezu legendo mściwa bajko bieża i miłosierdzia stał przede mną w podartej kapocie z żółtą gwiazdą na plecach i piersiach

Gołębie gruchwały miłość Okrężyły krzyże Siadały na dachach synagogi

Zydział drobina nieszczęścia głód dojrzałość bruzdy rysowały ręce wyciągał malec

W kościele od powietrza głodu ognia i wojny W bożnicy w twoich jesteśmy rękach

Jezu Jezu Legendo krzyża chrześcijański czadzie dziedzictwa Wyjźdź krzyknąłem wyjdź I w drzwi otwarte życiem wojny wpelzła ulica

Na rynku wyl Lejzor Cukierman szewc który cmokał nad mymi [zelówkami plecił każdy kawałek skóry

Stukały buty żandarmów warkot maszyn nienawistne słowa Jeszcze spojrzal W mych oczach [przeczytał tyś go Żydzie tyś go ukrzyżował

Nie rozumiałem dlaczego przyjaciel któremu rozkwasiłem nos za guzik miedziany z dwugłowym [ortem już nie zawola na mnie goju

Szedł zamiatał połami kapoty granitowych kamieni szklivo żółta gwiazda Syjenu malała Jezu Jezu Legendo mściwa

V

a ja na niego parchu już nie ukradnie mi chleba z tornistra już nie pójdziemy na jabłka do sadu księdza już nie zderzymy się barkami wśród ball pachnących żywicy on center a ja center b Cherubin syn szewca w którego mieszkaniu było ciemno cuchnął grzyb i mocz

Pokrzywy takie same jak przed wojną I wróble ćwierkają po Wierzbniku łobuzerską pieśń

Nad miastem dzwoniły dzwony zrywały się gołębie trzepocząc siadały na dachach [synagogi Chleb w tornistrze nosilem z powrotem do domu

Czterech Żydów wróciło z wojny czterech wróciło ich placz był pełen radości i pełen placzu śmiech

W nocy kiedy słowiki nad Kamienną kląskwały i księżyc krągła maca odbiciem w wodzie drzał

zabito czterech Żydów zabito czterech Żydów zabito czterech Żydów strzałami w skroń

II

Wczoraj ojciec mnie uczył Bił Przeklinałem płacząc wszystkich i wołałem [Żydów więcej nie będę

VI

Na cmentarzu twarzami ku gwieździe wieczornej nagrobki kamienne szereg pielerzymów dłonie wzniesione do Jehowy

Ojciec w dłoni zaciskał gniew za dachówki z kamienicy Fajgi za pobite kamieniami okna za pejsaków parchow macojadów za aj waj waj pod oknem chederu i za kota zdechłego w kuce

Pod Radomiem na mogiłach las

Bolał tylek sponiewierany Wczoraj ojciec uczył mnie szacunku przeklinałem wołałem nie będę

Moi Żydzi tam

III

Nie nosilem twych ksiązek do szkoły Maja Nie mówiłem o tobie Maja Nikt nie wiedział, że ty i ja Maja w śnie wciąż razem wciąż razem Maja

To nie ostatnie spotkanie wieczny tulacz na grobach roślin las i paprocie

Takie miałaś przejrzyste dłonie oczy większe niż okulary czemuś Maja nie widziała we mnie

Spśród traw ręce kamienne twarze które zostały w tobie i we mnie

Bliskie imiona takie same jak tych którzy przetrwali przez czasu zamieć

Imiona takie same krew taka sama mięśnie imiona moich przyjaciół żyjących we mnie

1956, po pogromie Żydów w NRF

oczy ludzkie oglądały. Gdy palono kobiety ciężarne, wtedy brzuch pękał, dziecko wydotawało się na zewnątrz i tak paliło się na łonie matki.

wyobrazić ruszt, na nim 3000 trupów niedawno żywych ludzi? Na rozkaz zapalają się pochodnie i wszystko płonie żywym ogniem. Strach i żal ogarnia, a mimo to stoisz i milczysz. Przy popiołach stoją bandyci i śmieją się wesolym śmiechem i wielkie zadowolenie maluje się na ich twarzach. Piją wódkę i najprzedniejsze likiery, zagryzając smakolykami. Hulają i bawią się ogrzani ogniem. Jest zima, ostra zima, a tu ciepło bucha jak z pieca. Oberscharführer, który to stworzył, siedział przy ogniu, grzał się i śmiał, piecił go wzrokiem, mówił doń „tadellos”, widział w nim ziszczenie wszystkich swoich zbroczonych snów i marzeń...

Opracował Wojciech Zejdl

JESTEŚMY we Francji. Odtąd w uszach szumieć nam będą nazwy słynnych miejscowości... Mentona, Monte Carlo... Pod palmami, przed kasynem gry, siedzą staruchy w kapeluszykach z kwiatkami, w ręku trzymają wachlarzyki z dżetu. Spozą wódek spozierają iwarze perłarce brudami, na których grubo jest powłoczona szminka. Na coś jeszcze czekają, czegoś jeszcze się spodziewają. W szeroko otwartych drzwiach stoi woźny w liberii. Obojętnie przypatruje się wchodzącym pasażerom z ulicy. Pamięta czasy wielkiego blasku tej instytucji, gdzie strojem obowiązującym był frak i sukienka wieczorowa. Ze stabilnej apatii wyrwywa go dopiero zajeżdżający Rola Royce, z którego wysiada jakiś businessman z kociakiem. Zaraz obok Nicea.

Na słynnej Promenade des Anglais tłumy snujących się par, czarnych, białych, kolorowych. Tak sam tłum na gęsto obok siebie rozstawionych leżakach. Mówią wszystkimi językami świata. Rozmawiają wolno, leniwie, przeżywają dzień, który jest za nimi, gorący i parny. Zmęczenie nie zeszło z ich twarzy. Odpoczywają po troskach, które zostawili w rozmaitych bankach i na giełdach światowych.

Po drugiej stronie ulicy profuzja świateł, neonów, najdroższe hotele, kasyno, dancinigi. W otwartej kawiarni gitarzysta z bokobrodami, w jaskrawo czerwonej koszuli przygrywa dwóm samotnym parom przedrzeźniającym się w twisiele.

Przejeżdżamy przez Cannes. Malowniczy port, nasycony tym samym kolorytem, który urzeka na obrazach Cézanne'a. Mijamy modną miejscowość St. Tropez, w której elegantki lansowały kostium składający się z dwóch części. Górny stanik, obnażony brzuch i spodnie do pół tydek.

Jedziemy do Aix-en-Provence. Przesuwają się przed nami skaliste pejzaże o kształtach architektonicznych starych budowli otoczonych roślinnością. Wieczorem jesteśmy na miejscu. Klęska! W tej niewielkiej miejscinie jest duży kongres historyków. Oznajmia nam to profesor Gieysztor i szuka dwie godziny z nami hotelu. Późno w noc kładziemy się spać, wśród picikielnych hałasów. Nazajutrz odwiedzamy Paul Cezanne, znakomitego tłumacza „Pana Tadeusza” na język francuski, w jego uroczej siedzibie na Route des Alpes.

Następnego dnia nasza zacna „Simca” przenosi nas do Avignonu. Znajdujemy się w dawnej stolicy papieży. Kawał historii. Ile blasku, purpury, wzniosłych postanowień, zadrążeń i sporów. Prawie stulecie targów o stolicę apostołską, między Francją a Rzymem. Głębokie tony dzwonów przypominają słowo Rabelaisa o „mieście rozdzwonionym”.

Pijemy kawę w modnym barze, naprzeciw katedry, która wraz ze swoimi przybudówkami ciągnie się jak szeroka ulica kamienna, o kształtach doskonałych, budzących uczucia wzniosłego podziwu i głębokiej pokory dla niezniszczalnego piękna tych murów, które otaczają całe to miasto wzniesione przez utrudzone ręce niewolników w czernym wieku.

Cały czas w ciągu tej podróży gna nas pośpiech. Wyjeżdżamy z uczuciem przykrości, że nie przejechaliśmy się po moście Benezeta, opiewanym do dziś na ławach szkolnych w całej Francji „Sur le pont d'Avignon”.

Nocujemy w Valence. Na bocznej uliczce marny pokój na trzecim piętrze. Czerwony blask tapety syczy nam oczy. Zamykamy szybko powieki, żeby się ustrzec od jaskrawości. W nocy gryzą nas — delikatnie mówiąc — moskity. Rano czym prędzej opuszczamy Valencję.

Ściele się przed nami droga prześlizczna, wzdłuż Rodanu, królowej rzek francuskich. Bogate winnice towarzyszą nam wzdłuż rzos. One to produkują owe sławne wina Côtes du Rhône, St. Étienne, Villefranche, Beaujolais! Migają nam w oczach napisy, które kojarzą się zawsze z dobrą okolicznością, kiedy na

uroczystym stole pojawia się butelka z tą wyniosłą etykietą.

Podobne uczucia zjawiają się w Burgundii, jeszcze wzmocnione aspektami literackimi. Tu Romain Roland umieścił swego Colasa Breugnon. Tu przydrożna gospoda „Reine Pedauque” odziedziczyła, po Francie le swój sztyldzik (Gospoda pod królową gęsią nóżką).

Przejeżdżamy przez Dijon, który zostaje nam w pamięci, jak obrazek bajkowy, gdzie nieomal każdy obywatel ma własny pałacyk z galerijką uskaną z żelaznej koronki. Z tą wizją w oczach kierujemy się na Paryż.

WĘDRÓWKA I POSTÓJ

(2)

IRENA PARANDOWSKA

NA KRÓTKI pobyt w Paryżu jest wypróbowany sposób. Niczego nie szukać, nie wertować gorączkowo w Semaie de Paris, nie ubiegać się o bilety teatralne, muzealne, na wernisaż, wystawy itd. Zdać się na los i przyjąć to, co życie samo w tym jedynym swego rodzaju środowisku przyniesie. Zamieszkać w Quartier Latin, gdzie na bocznej uliczce, rano wmieścić się w tłum targowy, przyglądać się straganom, których malowniczość nie jest przypadkowa, gdziekolwiek wejść do baru, spojrzeć, jak się tu zaczyna dzień tych, którzy na przedce wypijają swą kawę, przed biurem, fabryką, magazynem. Między jednym lykiem i drugim jest zawsze czas na smakowite powiedzonko, dowcip, flirt, a nawet pocałunek, czasem nawet zbyt przeciągły pocałunek, którym nikt dookoła się nie gorszy. Radość życia, śmiech, żart, wdzięk rozmowy, lekkość, potoczność — to jest Paryż. To pociąga wszystkich cudzoziemców!

To fascynuje artystów, którzy zakosztowawszy takiej atmosfery, już się od niej oderwać nie są w stanie, głodują, walczą się bezdomni, byle być w tym mieście i brać udział w tej teatralizacji życia. Zawsze mam wrażenie, że sztuka tu niejako wyręcza życie, które staje się w pewnym sensie wtórne. Ona nadaje styl ogólny, który mniej lub bardziej świadomie zostaje przyjęty, usurpuje sobie prawa, rządzi tymi prawami dość agresywnie, wnika w najgłębsze tajniki myśli ludzkiej, zwycięża lub doznaje porażki, ale zawsze jest już wszczęta w intelekt paryski.

Ulica paryska! Wystawy i galerie paryskie! Jak z rogu obfitości syją się nazwiska! Monet, Manet, Cézanne, Lautrec — wystarczy tu i ówdzie klamkę nacisnąć. To, co się znało z bezduszej reprodukcji, nabiera życia w barwie, tonacji, wyrazie.

Z pełną wizją tej gamy kolorystycznej impresjonizmu wracamy nasyceni znowu na paryską ulicę.

Oglądaliśmy tylko jeden spektakl w Théâtre de la Huchette: „Lysą śpiewaczkę” i „Lekcje” Ionesco. Obie sztuki zagrane po mistrzowsku, cieszą się nieustannym sukcesem w ciągu pięciu lat. Wprawdzie teatr jest mały, tylko 80 miejsc, ale nie bez racji w programie znajduje się facsimile listu Ionesco, w którym autor stwierdza:

„Un grand succès dans un petit théâtre, vaut mieux, qu'un petit succès dans un grand théâtre — et encore mieux qu'un petit succès dans un petit théâtre”.

Ionesco pomija najbardziej sprzyjającą okoliczność dla autora. Wielki sukces w wielkim teatrze. Ta ewentualność nie jest brana pod uwagę, gdyż jest to piazek kameralny, jego sztukom trzeba małej przestrzeni, żeby ta intymność specyficzna zarówno nastroju całego jego dość osobliwego teatru, jak też słów wyrażonych ze sceny, połączyła się natychmiastowym akordem z widownią.

W antrakcie wychodzi się na ulicę. Zaraz obok jest sklep, jak ze sztuki Ionesco. Przy samym prawie wejściu siedzi na krześle surrealistyczna lalka naturalnej wielkości z założoną nogą na nodze. Spod małego kapelusika wylania się różowy welon, który owija się dookoła brody, tak że dolna część twarzy jest zasłonięta. Pośrodku sufitu jest zawieszony olbrzymi parasol z czarnej koronki, który się lekko kołysze w prawo i lewo. Każdy drobiaż w tym sklepie jest przeznaczony dla podniesienia urody kobiecej. Wspaniałe wachlarze ze strusich piór, długie, sięgające ramion różowe i czarne rękawiczki, gdzie indziej kwiat, torebka wieczorowa, perły. W głębi na wieszakach kilka sukien. Młodzież dziewczyna zdejmując te blaski, przed dużym lustrem przymiera je sobie do twarzy i figury. Tej rewii przypatruje się elegancki młodzieniec, siedzący na fotelu w swobodnej pozie, jak owa lalka opisana na wstępie. Dziewczyna nie ma typowych ruchów modelki. Zachowuje się jak młoda kobieta, która wybrała się na wieczór i maż ma jej doradzić w wyborze toalety. Oboje bawią się świetnie śmiejąc się, obrzucając się kwiatami.

Urzeciona publiczność teatralna w czasie całego antraktu śledzi całą tę scenę. To jest Paryż.

I tylko w tym mieście nikt się nie dziwi znanej już od dawna clocharde, która z zapadającym zmrokiem tuż przy Boulevard S. Germain pośrodku chodnika układa się do snu. Jest to mieszkanie z ogrzewaniem, gdyż w tym miejscu przebiegają ciepłe rury. Zaden strażnik nocny nawet nie próbuje zakłócać jej spokoju. Wiedzą oni już, że obywatelka Paryża ma przy sobie owe 5 franków, które ją chronią od prztytków żebraczych.

Brak paryski — to wolność. I tylko w tym mieście fantazja osiąga swój punkt szczytowy. Znajdujemy się koło Louvru. Wstępujemy do kościoła Saint Germain l'Auxerrois. Kolo głównej nawy krzątają się architekci wnętrzarsze. Kościół ma być udekorowany z powodu jakiejś ważnej uroczystości przypadającej na ten dzień. Od czasu do czasu otwierają się szeroko wrota kościelne i wtoczony zostaje wózek, wysięcielony całą górą warzyw i owoców jesieni. Urodziwe głowy lilijowej kapusty, obok złotych melonów, arbużów. Złociste wianki cebuli, czosnku, wielkie jak kule leżące obok siebie pomidory, wciąż na nowo wnoszone w przepelnionych koszach, więzy marchwi, pietruszki z nacią zieloną, selery, pory, skrzyżki jabłek i gruszek. Zaciekawieni, zadajemy kościelnemu pytanie, jakiego rodzaju jest to akcja charytatywna. W istocie, ogrodnicy z przedmieść paryskich ofiarowują swe dary artystom dla udekorowania wnętrza kościoła. Ten śmiały pomysł realizuje się w naszych oczach. Na sztucznych trawnikach, rozłożonych przed głównym ołtarzem artyści układają z liści, jarzyn i owoców nie martwą ale żywą naturę. Powstają przepiękne desenie nasycone barwą rozmaitą. Kościół zamienia się w żywy ogród.

Miasto nieustającej myśli, fantazji, intelektu! Miasto, którym nie można się nasycić, które pobudza instynkty twórcze i stwarza wciąż nowe bodźce.

To jest Paryż.

* „Duże powodzenie w małym teatrze jest warte więcej niż małe powodzenie w dużym teatrze i jeszcze więcej niż małe powodzenie w małym teatrze”.

Listy o poezji (20)

INTELEKTUALIZM - DOPRAWDY?

ANNA KAMIENSKA

„...W młodości mniej przywiązany niżby należało, do interesów ciała, żywiłem podziw tylko dla umysłu, dziś naprawiam w miarę swoich sił popełniony błąd”...

Saint-Evremond

STARZY nudziarze w rodzaju Saint-Evremonda zaskakują czasem zadziwiająco trafnymi paradoksami. Nie dlatego, iżby mogła istnieć jakaś mądrość „wieczna” i absolutna dla wszystkich epok i wszystkich odmian sztuki. Formy życia są zmienne. Ono nie zastęga, nie ma obawy, aby krzepło w sztywne konwencje, tak jak to się dzieje z formami sztuki. Cokolwiek stanowi w sztuce osiągnięcie, natychmiast jest zagrożone przoderzeniem się w kanon, w „szkołę”, w swoistą klasycyzację.

Refleksje starych myślicieli — są pożyteczne nie przez samą trafność, lecz przez paradoksalność. W zmienności świata wyznaczają jakieś punkty rzekomo stałe i niezmiennie. Bawi nas dysproporcja między zmiennością form życia a pozorną niezmiennością prawd psychologiczno-moralnych. Przypuszczam, że owa niezmienną jest pozorona. Jej treści sprzeczają się tylko dla

tego, że coraz bardziej uogólniamy ich znaczenie.

Współczesnej naszej poezji nadają już ton młodzi. Jest ich legion, a poza tym są ruchliwi, piszą wiele, nie zniechęcili się jeszcze do dysput literackich. A prawem młodości, rację ma stary Saint-Evremond, jest lekceważenie dla spraw ciała, dla zewnętrznej powierzchai świata, szukanie sensu, prawdziwości, „istoty”. Dopiero później, z wiekiem zjawia się sceptycyzm poznawczy i miłość dla zewnętrznych przejawów życia. Obraz naszej poezji rysuje się przede wszystkim jako obraz poezji filozoficznej. Wmawiają jej to zresztą krytycy, szukając w każdej metaforze, w każdym skojarzeniu sensu filozoficznego. Nie byłoby o co się martwić. Ostatecznie intelektualizm w poezji nie mieliśmy nigdy za dużo, a przeważnie poeci myślący nie byli najlepszymi polskimi poetami: Krasński, Asnyk, Wyspiański. Jeden wielki Norwid sterczy jako pomnik intelektu, do dziś w całości nie wydany i prawie nieobecny w szkole.

Jeśli jednak obserwujemy rozwój poezji, zaczyna nas niepokoić coraz większa miakłość jej treści, pływająca tak szumnie zwanej filozofii. Filozofia zbyt często staje się pseudo-filozoficznością, a intelektualizm jest tylko pseudo-intelektualizmem. Pod przebraniem myśli rozlewa się fala liryzmu naskórkowego, wrażeniowego, podnoszącego do rangi zasady filozoficznej — samo doznanie, samo skojarzenie, samą literackość pomysłu.

Filozoficzne treści poezji powstającej w ostatnich lata są reakcją i schronieniem po frazeologii i łatwej retoryce wierszy okolicznościowych i doraźnie politycznych. Poeci pragną odklamać frazesy głoszące, że „człowiek

nie umiera” i „śmierci nie ma” — zaczęli pisać właśnie o śmierci, o tym niezaprzeczonej fakcie w życiu każdego człowieka, fakcie ocerającym się o tajemnicę, o sprawę celu i sensu istnienia. Ten ten siłą rzeczy przeważa w refleksyjności poetów starszego pokolenia, dla których zjawia się w całej ostrości problem przemijania. Ale jest to również wbrew pozorom problem młodości, stanowiący ważne dla niej i niespodziewane odkrycie.

Przygotowując niedawno dla jednej z gazet wybór wierszy młodych poetów — zauważyłam nagle, że wszystkie wybrane przez mnie wiersze mówią o śmierci. Tu można już mówić o manierze. Ubiegły okres pozostawił nam niesławny termin „zarażenia śmiercią”. Wsuwano go jako zarzut przeciwko pisarzom, którzy rzeczywiście mieli jeszcze w oczach ogień, dym i zwały trupów. To, co wówczas nazywano „zarażeniem śmiercią” w imię jakiegoś fikcyjnego zdrowia psychicznego i dziarskości — po latach rzezi, było moralnym nakazem pamięci narodowej i ludzkiej wobec tych, którzy zginęli po to, dostołnie po to, aby inni mogli ocalać.

Obecna dziś w wielu wierszach obsesja śmierci ma cechy manieri i mody literackiej. Jest coraz bardziej ornamentacyjna i makabrycznie dekoratywna, ćwiczy się w przerażaniu siebie, przede wszystkim siebie. Tymczasem żyjemy w atmosferze, którą charakteryzuje powiedzenie jednego z dowcipnych i mądrych ludzi: śmierć indywidualna jest w naszej epoce luksemem.

Jakże często filozofowanie naszej poezji jest pozorne. Nie umiemy widzieć i opisywać świata, gardzimy sztuką przedstawiania, nie lubimy bla-

sku, koloru, smaku ziemskich krajobrazów i ziemskich potraw. My, wychowani w dawnej szkole na poezji lacińskiej — nie przestaliśmy cenić tego, czym brzdzi się młoda poezja — opisu. Szkołę poetycką widzimy w obserwacji i dostrzeganiu szczegółów, barw, jedności i soczystości świata. To wszystko w pogardzie mają abstrakcjonisci w malarstwie. Ale ich ratuje kolor. Poezja bez tego upodobania do rzeczy, samych rzeczy, a nie symbolów i „pretekstów”, bez upodobania do konkretności — jałowuje. wysusza się, staje się doskonale obojętna i naszej wyobraźni i naszemu umysłowi. Abstrakcyjność sprowadza poezję do jałowego popiołu słów. Dlatego tak trudno tej poezji poruszyć wyobraźnię, uruchomić zainteresowanie. Poeci powinni więcej podróżować, uczyć się świata, oglądać galerie wielkiego malarstwa. Poezja odcięta od wielkiej sztuki i od obrazu świata staje się żalostnym kwileniem, które krytycy potem nazywają ładnie wyrazem alienacji, dezintegracji itd.

Filozofowanie też może być niestety rodzajem zaścianka, z którego tak trudno się wydobyć.

W karykaturalnych przejawach maniera pseudo-intelektualizmu prowadzi do pretensjonalnych wtrętów językowych i terminologicznych. Znany wiersz napisany żargonem naukowym, popisujący się terminami nowoczesnej fizyki i filozofii. Nie jest to intelektualizm, jakiego oczekujemy w poezji. Nie jest to właściwe rozumienie postulatów zbliżenia poezji do osiągnięć współczesnej nauki, tego postulatów, które sztuce stawia po prostu świat współczesny. Mądrość poezji to obraz świata, przez nią przekazany, to arty-

(Dokończenie na str. 10)

STUDENTA POMNIK

bez C O K O Ł U

tej dzielnicy na 62 hektarach, które) budowa kosztowała do tej pory 400 milionów złotych. Pomnik PKWN. Naprawdę imponujący. Może zachwycić najbardziej wybredne oko.

— No, ale oni, pokolenie rówieśników PKWN? — pytam mając przed oczyma pomnik według kawiarnianego projektu. Rektor Seidler odpowiada:

— Młodzież nasza przeskoczyła dwa pokolenia rozwojowe (ma rację, ta młodzież robi wielki skok z chaty wiejskiej do wielkiego miasta, zdobywa tytuły naukowe, podczas, gdy tam, na wsi pracują jak dawniej). Jest sceptyczna, nieblyskotliwa, pracowita. Osiemdziesiąt procent przechodzi z roku na rok, co stawia UMCS na trzecim miejscu w Polsce. Przychodzi młodo na wyższą uczelnię, w ciągu pierwszych dwóch lat wymaga szczególnej opieki. Jest bardzo katolicka, ale po dwóch latach studiów religijność wyniesiona ze wsi ustępuje. Nie wskutek specjalnej agitacji, ale po prostu dzięki rozszerzeniu horyzontów intelektualnych.

Czy są zmerkantyliżowani? Nastawieni konsumpcyjnie do rzeczywistości?

— Cechuje ich praktycyzm — powiada rektor Seidler. — Chcą szybko zarabiać i dorobić się.

Szukam bohatera. Rektor ładuje mnie do rektorskiego samochodu, żeby pokazać mi Harvard.

— To będzie jedyny właściwy początek do pańskiego reportażu — powiada mi po drodze.

— Ale Harvard jest daleko — protestuje.

— Nie tak bardzo, jak pan myśli.

Pędzimy znowu pryncypalną ulicą, gdzie można zjeść prawdziwe litewskie kołduny w południe, a wieczorem dostać po zębach. Wówczas widzi się nawet w Lublinie wszystkie neony tego świata.

III

A WIEC Harvard. Dom Studenckich Usług — DSU. Piękna sala jadalni. Kilometrowa kolejka do okienka. Od okienka każdy wnosi cały obiad na plastikowej tacce, zajmuje miejsce przy stole na nowocześnie skrojonym stołku. Kolejka długa jak smoczy ogon jest wynikiem jakiegoś błędu w projekcie, albo też nieumiejętności gospodarzy w korzystaniu z jego świetnie pomyślanej funkcjonalności (spory trwają, nie mieszajmy się do nich). U końca długiego rzędu szatni zaimprovizowana kawiarenka. Ciastka, kawa, piwo. W tym miejscu ma być przejście do sali widowiskowej, która dopiero gramoli się z fundamentów.

Przez okna DSU widać rzędy domów akademickich. Chodząc koło nich niebezpiecznie, bo studenci wołają głośno „Leon” i leją wodę z pieter na głowy przechodniów. Z wyjątkiem tych dni, kiedy w Harvardzie zabraknie wody, co miało miejsce dość dawno temu, niemniej jednak odbiło się po Lublinie echem głośniejszym, niż zawołanie „Leon”. Młodzi ludzie po trzech dniach pustynnej roślinności wyszli na ulicę z wołaniem: „My chcemy wody!” Brzmiało to bardzo śmiesznie, zwłaszcza, że padał deszcz. Zgromadził się spory tłumek pod redakcją „Kuriera”, redaktor ich uspokajał, aż dopiero w sukurs pospieszył niezawodny rektor Seidler. „Moi drodzy, jutro będziecie mieli wodę w domach. Daję wam na to rektorskie słowo”. Po czym otworzył swój parasol, zaintonował pieśń „Głęboka studzienka” i wyprowadził pochód do swojego Harvardu. Woda na drugi dzień istotnie była, drobne niedopatrzenie naprawiono.

Wchodząc w miasteczko uniwersyteckie, zaglądam do pokoi. „Co robicie?” — „Zafajczamy wiedzę” — odpowiadają. „Egzaminy?” — pytam. — „Zjazd intelektualistów” — odpowiadają, co się tłumaczy na język polski: „sesja poprawkowa”. Ponieważ taka jest sytuacja, nie chodzą na „styk” (randka), nie zachwycają się „talentem filmowym” (biust — fenomen) swoich koleżanek, ani „teleskopami” (długie nogi) u medyczek.

Ale wracajmy do naszego bohatera.

IV

MOJ pomnik studenta nie stoi na cokole, można do niego podejść, porozmawiać, podyskutować. Można go również poprosić, aby wygłosił krótki speech na tematy pokolenia, coś na kształt spowiedzi dzielnicy wieku, nie naklaniając go jednak, aby niezmiennie trwał w postawie wertykalnej. „Proszę, niech pan siada”. Jesteśmy w kawiarni „Tip-top”, gdzie personel bardzo skarży się

na burdy, jakie żacy urządzają w dniach wypłat stypendiów. Ponieważ jednak to sprawa przewijająca się przez 6 wieków historii naszych szkół wyższych, więc dla czasów naszych nietypowa. Typowa dla środowiska.

— Muszę przyznać, że najbardziej rażą mnie w naszej rzeczywistości ludzie, którzy mówią co innego, a co innego robią. Fatalna sprawa, ale czasem przyłapuje się na tym, że robię tak samo. Gdy trzeba załatwić jakąś sprawę w dziekanacie, w komitecie — dla uzasadnienia swoich racji wyszukuje się jakieś dodatkowe argumenty, wyświechtane slogany, w które się wierzy... Gdy szukamy prelegenta — bierzemy się go na „gadkę”, podpuszczamy różnymi słówkami, bo jakże inaczej, skoro nie możemy go zdobyć za pieniądze? Zresztą zainteresowania wśród naszej braci są bardzo nierozbudzone. Największym powodzeniem cieszy się wykład z dyskusją pt. „Gdzie jesteś, cnoto?” „Dziewczęta powiedziały w dyskusji, że wyglądałyby zupełnie inaczej, gdyby chłopczy się nie chwaliły... Ale panu chodzi o styl życia. Niektórzy zdołali już połączyć modę na białe koszule, jaka zapanowała po erze brudnych brodaczy, z dążeniem do zdobycia mocnej pozycji życiowej w konkretnym zawodzie. Muszę panu powiedzieć, że szukamy dróg. Coraz więcej młodych ludzi przekonuje się o tym, że warto i trzeba coś robić, aby było lepiej. Nie wiemy jak. Nie wykształcił się jeszcze model działania organizacji młodzieżowej na tyle, aby sprostać temu zadaniu. Co tu dużo mówić — u nas panuje głód pozytywnej idei...”

Słucham tego młodego gołowąsa, który jest członkiem ZMS, jednym z jego sekretarzy, a równocześnie członkiem egzekutywy komitetu uczelnianego PZPR. Oto macie pokolenie niemyślące, bierne, bezideowe, nastawione konsumpcyjnie wobec rzeczywistości.

Głód pozytywnej idei. Czy potrafimy ten głód wykorzystać dla siebie, czy nie ubiegna nas sprytniejsi?!

V

NIE przesądzamy, że w Harvardzie jest znowu tak cudownie.

Uczenie się w kilka osób w pokoju, gdzie czuć nieprane skarpetki, zdobywanie szlifów naukowych w warunkach zageszczonych „Akademika” jest zapewne dużym osiągnięciem. Ale w tychże pokojach, gdy już światła pogasną, toczą się długie dyskusje. O powstaniu warszawskim, o wrześniu 1939, o partii, o kadrach rad narodowych. To nieprawda, że tych ludzi nie obchodzi nic: świat, Polska — że patrzą tylko własnego nosa. Nie wyobrażacie sobie, jak niucują każdy fakt. Są jednak skryci, wobec ludzi spoza swego kręgu nieufni. Dzielenie się swymi poglądami w Polsce nie zawsze przynosiło korzyść — o czym wiedzą z praktyki swoich rodziców. Wolą więc milczeć, tak im nawet przykazywano w domu. „Nie afiszuj się z tym, co myślisz, siedź cicho, ucz się”.

Z drugiej strony grają w karty w pokojach, wyskakują do knajpy „Tip-top” na wino i potrafią przepić całe stypendium, są chorobliwie ambitni na punkcie ubioru. Teraz w czasach stabilizacji, „biedny” student bez tego nie zdobędzie żadnej dziewczyny. Więc zadłużają się, zarobkują na boku, żeby sprawić sobie modny garnitur, czy sweter. I rzeczywiście, gdy oglądałem ów smoczy ogon w stołówce, nie było tam żadnego „biednego studenta”. Tam nie było nikogo, kto by na studenta wyglądał. Dorabiali jako agenci PZU, jako pracownicy studenckiej spółdzielni usługowej, wreszcie pomagają w różnych handlowych. Jakiś student dorobił się na handlu owocami własnego samochodu. Ten mit krąży po studenckim Lublinie i wszyscy cmokają: „Ale cwa-

Rozmowy o projekcie Kodeksu Karnego (2)

ROZMAWIAMY ZE STEFANEM ŻALIŃSKIM

Prezesa Sądu Wojewódzkiego w Lublinie

— Jak pan prezes jako praktyk zapatruje się na sprawę penalizacji obecnego projektu Kodeksu Karnego?

— Niewątpliwie projekt rozszerza penalizację na nowe dziedziny życia społecznego. Ale wydaje się, że nie można projektowi zarzucić nadmiernej penalizacji jeżeli chodzi np. o przestępstwa gospodarcze, albowiem praktyka sądowa wykazała więcej stanów faktycznych od zaproponowanych w projekcie.

— Jak więc kształtują się w praktyce sądowej pewne tendencje polityki represyjnej bądź to na podstawie orzeczeń Sądu Najwyższego bądź na podstawie odczuwanej przez sąd potrzeby społecznej?

— W praktyce sądowej wykrystalizowały się trzy tendencje: 1) zaostrożenie dolegliwości ekonomicznej, 2) utrzymująca się ostrej represji karnej wobec największych aferzystów, 3) elastycznego, wychowawczego traktowania sprawców najdrobniejszych przestępstw. Tu punkt ciężkości został przeniesiony głównie na dolegliwość ekonomiczną.

— Jakie zmiany w zakresie walki z przestępczością gospodarczą proponuje — zdaniem pana prezesa — projekt?

— Jeżeli chodzi o zwykły zabór mienia społecznego, w projekcie nastąpiło formalne podniesienie dolnej granicy sankcji do 1 roku (obecnie 6 miesięcy) i górnej do 10 lat (obecnie 5 lat). Natomiast przy kwalifikowanym zabiorze mienia społecznego projekt przewiduje dolną granicę od 2 lat, zaś górną 15 lat. Ale przy znacznym zabiorze tego mienia dolna granica została obniżona z obecnych 5 lat (przy wartości mienia 50 tysięcy zł) lub 8 lat (100 tysięcy zł) — do 3 lat.

Poza obecnym projektem znalazła się np. ustawa z 21.I.1958 r. o wzmożeniu ochrony mienia społecznego przed szkodami, wynikającymi z przestępstwa, która stanowi najpoważniejszą oręż w walce z przestępczością gospodarczą typu aferowego. W tej ustawie dolna granica zagrożenia ustawowego w przypadku przywłaszczenia mienia ponad 50 tysięcy zł wynosiła 5 lat, a ponad 100 tysięcy zł 8 lat, w projekcie zaś obniżono dolną granicę do 3 lat.

— Jakie to może mieć znaczenie jeżeli chodzi o praktyczne następstwa? Przecież sąd ma prawo swobodnej decyzji w tych granicach, teoretycznie więc może „nie schodzić” poniżej obecnie obowiązującego minimum?

— Tak. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że dla sprawy zaboru mienia społecznego, jak i każdego innego przestępstwa, groźbę stanowi nie tyle górna, ile dolna granica. To jest sprawa psychologiczna, czasem także kalkulacyjna. Wiemy, że nawet prewencyjne działanie ustawy z 1958 r. nie stanowiło dostatecznej tamy dla aferzystów dużego pokroju. Autorzy obecnego projektu potraktowali ją jako akt ustawodawczy o charakterze przejściowym, epizodycznym, który po krótkim okresie straci rację bytu. Ale realna sytuacja w walce z przestępczością gospodarczą typu wielkich afer chyba do takiego optymizmu nie upoważnia. Osobiście jestem przeciwny wprowadzaniu tej ustawy do przepisów wprowadzających — a takie tendencje ostatnio się przejawiają. Ustawa ta powinna być zawarta w samym kodeksie.

Widzimy przeto, że projekt w zakresie ochrony mienia społecznego nie

(Dokończenie na str. 9)

niak! Ale ów student „zarwał” naukę i nie będzie prawdopodobnie nigdy magistrem. Choc — z drugiej strony — ci, którzy z dyplomami rozpoczyna wrótce pracę, będą musieli dość długo poczekać na własny samochód.

Interesują się historią, chociaż patriotyzm w starym, tradycyjnym kształcie jest dla nich pojęciem obcym. „Patriotami stajemy się dopiero za granicą, gdy trzeba odpiąć zarzuty, jakie stawiają tam Polsce i Polakom” — powiedział mi jeden z młodych.

Mówią: „Czy obrona Warszawy w 1939 roku była sensowna? Przecież kampania już wtedy była przegrana. Niepotrzebnie narażano ludzi”. Nad wszystkimi powstaniami stawiają znaki zapytania. Łącznie z warszawskim. Imponuje im jednak heroizm, ale sensowny, zaangażowany w obronę słusznej sprawy. Afirmują walkę podziemną w czasie okupacji, partyzantkę. I widać, że w gruncie rzeczy marzą o pięknych, heroicznych czynach. Jakich? Ba, tego jeszcze nie wiedzą.

Mój bohater, którego w tym momencie nadal chcę uważać za typowego, powiada: „Poszedłbym na prowincję, gdybym wierzył, że coś uda mi się zrobić. Gdybym trafił w dobre środowisko. Jestem demografem, a nasze funkcje w powiatowych radach narodowych spełniają smarkule po siedmiu klasach...”

VI

REKTOR Seidler zabrał mnie do wielkiej sali wykładowej, która chyba pamięta jeszcze XIX wiek i pejzających kupców, gdyż był to budynek starożytnej kongregacji handlowej. Studenci prawa w liczbie 81 słuchają wykładu o różnicach między demokracją ateńską, amerykańską a socjalizmem.

W przerwie robimy małą ankietę. Wyniki są pewnym zaskoczeniem zarówno dla rektora Seidlera, jak i dla słuchaczy. 37 słuchaczy urodziło się w pamiętnym roku 1944, pozostali to roczniki 1943 i 1945. 25 osób przyszło na uniwersytet ze wsi, 22 z małych miasteczek, 14 z samego Lublina, reszta z innych województw. Zdecydowana hegemonia młodych ludzi z prowincji. 46 należy do ZMS, 7 do ZMW. Bez stypendium jest zaledwie 27 osób. 29 osób czyta codziennie gazetę. Tytułu dla rozeznania sytuacji.

Czekiwałem wiele po pytaniu: ile osób należy do koła Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyslicieli? 20 osób podniosło ręce. Tu nie chodzi o liczbę, chodzi o odwagę cywilną tych, którzy oficjalnie przyznali się do swoich poglądów. Rektor Seidler był zaskoczony. Powiada, że jednak presja wiejskich religiantów zelała, że wpływy klerikalne na uniwersytecie świeckim są coraz mniejsze. Jeszcze ciekawszy wynik daje pytanie o pracę społeczną. Zajmują się nią aż 43 osoby, więcej niż połowa obecnych na sali. Kto chce wrócić na prowincję? 41 osób. Idealy Judyków i Siłaczek odpowiadają tylko... 2 osobom.

Tutaj chciałem się zastanowić, czy można ich winić za to. Idealy Judyków i Siłaczek są bardzo stare. I na tyle się w Polsce zmieniło, że nikomu nie potrzeba ludzkich wyrzeczeń i negacji własnego ja dla trudnej pracy „dla ludu”.

VII

KAWIARNIA „Ewa”, jedyny w Polsce lokal bez kantów. Znowu w tym samym gronie — przy gorącej czekoladzie. „A więc jaki typ studenta zwycięża?” — zapytują. Ba, tego pytania nie oczekiwałem. Zapytali chyba bardzo słusznie: nie jaki się ukształtował, ale jaki zwycięża. Na pewno typ mistyka, naładowanego idealami, które mają zbawić lud, miżantropa i potencjalnego społecznego cudotwórcy diabli dawno wzięli. Dzisiejsi studenci realnie oceniają rzeczywistość. Z tego, comówili, mogą sądzić, że mają do niej stosunek nie tylko konsumpcyjny. Jeśli się im to i owo nie podoba, a sąd mają trafny — będą to i owo chcieli zmienić na lepsze. Kształtuje się typ racjonalisty z inklinacją do społecznego działania. I chyba organizacje będą chciały zrobić jak najwięcej, aby ten model lansować.

Ostrożnie, panowie, z gorącą czekoladą, abyśmy naszego nowego pomnika nie obiali. Jest to najprawdopodobniej monument studenta AD 1963, rówieśnika PKWN... A raczej propozycja nowej dokumentacji pomnika. Ten stary pomnik z kawiarnianych plótek, oparty na domysłach i inkwetywach, proponujemy definitywnie zburzyć... Chociaż „my, Polacy, my lubim pomniki...”

Janusz Roszko

PREYWIOŻŁ nas tutaj furgonem trochę bekwiaty kierowca. Zamiasz pociąg przy wylądowaniu sprzętu, pobiegł do Zamku. Wywrzeszczał się w rumach, wyszalał i odjechał.

Na miejscu pozostała ekipa filmowa, chyba najmniejsza z możliwych: nowowy reżyser, cierpliwy operator, przystojny aktor i sekretarka planu, piękna i głupiatka.

A oto pokrótce treść przyszłego filmu: samotny turysta odwiedza Skąły i Zamek w upalny dzień, w porze bliskiej południa, a jego wędrówka, odczucia i nastroje stanowią jedynie pretekst do pokazania uroku ustronia.

Ojciec i córka dziwią się nam szczerze, że mając tak „poważne” zawody i wykształcenia zabawiamy się kręceniem filmu. Dla nich prawdziwym filmem i wielkim przeżyciem byli „Kryształy”. Oglądali ich niedawno w miejskim kinie. Nie wierzą, iż czełogolwiek dokonamy, bo inaczej wyobrażają sobie tę pracę. My dziwnym się natomiast, że ich, mimo wszystko, interesują nasze sprzeczki o poszczególne ujęcia (choć nie nakreśliłyśmy dotąd ani jednego) i rozmowy nad scenopisem, naszpikowane fachową terminologią, jak zwykle u amatorów.

Dziewczyni przypadł do gustu aktor, więc go coraz częściej „ożkuje”.

film

STANISŁAW
R. LIPiŃSKI

Z cyklu „Opowiadania turystyczne”

Od chwili przyjazdu obserwujemy niebo. W błękitnie kołują jastrzębie i myszolowy, przelatuje ciężko samolot. Z załomów ruin wyfruwają wrony. Ma się ku wieczorowi.

Za poradą dozorczyńi zabytku, zamieszkujejemy w pobliskiej chalupie, na Podzamczu.

Domem rządzi córka, rosta i silna, dorodna dziewczucha, zaliczana niewątpliwie do miejscowych piękności (to ją zaczepiał kierowca z okna samochodu, na pnącej się stromo drodze i dostał cierpką odprawę), pozornie gardząca mężczyznami, schludna i gospodarna.

— Cały tydzień pracuję jak parobek — stwierdza hardo zaraz w pierwszych słowach — i nawet w niedziele dobrze nie odpasnę. Co mi tam tatuś i mamusia pomogą. Tylko do najcięższych robót w polu najmujemy ludzi.

Gospodarz, rozsądny, chłopisko do rady, lecz bez prawej ręki, a zatem nieprzydatny do większej roboty i jego osoba prawie się nie liczy.

— Od czasu, gdy piorun zabił syna, kobieta zdziwaczała mi zupełnie — mówi w obecności żony. — Chłopak wracał z miasta, wcale nie było burzy. Stało się to niedaleko, pod górą. — Po chwili dodaje ciszej: — Matka chodzi często do spowiedzi i we wszystkim słucha podszeptów proboszcza. To on zabrania jej wydać córkę za chłopca, którego oczkuje dziewczyna.

Przed naszym udaniem się na spoczynek, ojciec założył na strychu żarówkę, córka powynajdywała zewsząd koce, derki i poduszki, aby nam było wygodnie i ciepło.

Poranek zaczyna się deszczem. Pierwszy operator posłyszał spadające na strzechę krople i napiływ zagniewania wylądował od razu na posłaniu, rozkopał je niezgorzej, budząc przy tym resztę zespołu. Zagrzebany teraz po pas w sianie, kręci rozpaczliwie głową. Nic dziwnego, taka wieść jest mało radosna.

Fajansowe garnuszki i talerze wyciągane są z białego kredensu specjalnie dla nas. Dziewczyna zrobiła masło, upiekła razowy chleb w formie. Otwierane przez nią raz po raz drzwi domykają się samę, skrzyjąc podobnie do piania koguta.

Z konieczności uwięzieni razem z domownikami, nawzajem się podpatrujemy.

Gospodyni ma wygląd dewotki. W obu mieszkalnych izbach zawieszonych jest dziesiątki religijnych obrazów, okropnych oleodruków, najgłębiej nad jej łóżkiem. Ona sama prześiaduje w kącie, bez ruchu i milczy cierotycznie, jak nieżywa. Z rzadka wodzi wnikliwie wzrokiem, nie patrząc nikomu w oczy. Wcale nie odzywa się do obcych, a również nie wiadomo, czy mówi coś kiedyś do najbliższych, ale na pewno, w tej rodzinie, ma znaczenie każdy jej grymas.

Do kuchni, wielkiej stancji z klepiskiem, wlażą bezkarnie kury, a z obory dochodzi porykiwanie bydła. Te stworzenia nie dawały nam noca spokoju. Gdakające nad ranem kury można jeszcze było wypędzać ze strychu grudkami gliny, gdy rzut był cel-

ny, ale na ryczące krowy nie znaleźliśmy żadnego sposobu.

I co gorsza, nie bez wzajemności. Nie uchodzi to uwadze sekretarki, nie umiejacej ukryć zazdrości. Robi ciche sceny aktorowi. Sytuacja się zaostrza. Reżyser i operator przezornie nie włączają się do rozmowy.

Wieczorem, przy świetle okolonego kołnierzem mgły księżycy, nasze cienie wędrują dróżką ku Zamkowi i Skalom, które o zmroku jakoś urastają i sterczą upiornie na sąsiadujących wzgórzach. Dawniej Zamek był siedliskiem gwaru i życia pomiędzy wielkimi borami, ale czas zmienił mu rolę — obecnie na tym uboczu znajduje się cisze, jeśli jej tylko nie niwecza hałasujący turyści.

Ze wznieśień widoczne są światła miasta w odległej dolinie i blask luny nad hutą szkła.

Poranna rozmowa z gospodarzem zaczyna się dzisiaj od polityki, a potem sprowadza się do sprawy budowy domu dla córki. Narzeka na niedostatek materiałów; brak mu blachy na pokrycie dachu, cementu i pretów zbrojeniowych. Pustaki robią sami w wolniejszych chwilach.

— Nie mogę pozwolić dziewczynie stąd odejść, bo bez niej oboje z żoną nic nie poradzimy — skarży się ze smutkiem, pokazując wybrane nie opodal miejsce pod nowy dom.

Wyczekujemy pogody, słońca, ponieważ czasu zostało nam niewiele. A tu od dwóch dni pada, co parę godzin i ciągle jest parno. W podnieceniu sprawdzamy, jak latają jaskółki, czy nieprzenwanie „niedźwiedź pali fajkę” i czy wieczorem jest rosa. To cała nasza wiedza w tym zakresie. Gospodarz żartuje z nas życzyliwie, ale sam równie słabo orientuje się w lokalnej meteorologii. Radia nie ma w tym domostwie.

WIKTOR BOKOW

SZKICE WIOSENNE

SKOWRONKI

Smieszne rude skowronki przydrożne! Jeden z nich ufnie podfrwa nad żołnierzami budującymi drogę. Ktoś próbuje schwytać go juraterką. Skowronek się toymyka i znova żarty sobie stroi. I znova wrzlatuje juratarka za ośmielonym ptakiem.

Darennie!

Bo nakryć skowronka można by tylko niebem.

KIEŁKI

Zgodne, gęste kiełki jarowizny. Każde zielone piórko ozdabia okrągła przezroczysta kropka rosy.

Kiełki błyszczą.

Temu, kto przejdzie obok nich nie o piątej rano, jak ja, ale o jedynastej, nieprzyszłoby na myśl, że kiełki umyły się wcześniej niż my i drzemały, stojąc.

NIEZAPOMINAJKA

Niezapominajka — to rodzona siostra młodunki, a poblękitniała dlatego, że wyszła ku rzece i zapatrzyła się w wodę.

JABŁOŃ

Jabłoń w białym płaszczu, jak Don Juan, oczekuje wszystkich i nikogo.

NIEPRZYODZIANE LASY

Śnieg stał, wiatr osuszył ścieżki na wzgórzach. Błękitnieją umyte wiosennym deszczem przestrzenie. Wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, nieprzyodziała, naga pochyłość. To lekko brunatna, to zielonkawa, to jaskrawo woskowa.

Dopiero prawdziwe ciepło pozwoli ożywić liściom. I jeśli nie przeoczy się tego pogodnego dnia, to w każdym lesie można odszukać śmiatka, który pierwszy uwierzy wiosnie i wznieśnie chorągiewkę nieśmiatęj przezroczystej zieleni.

Z rosyjskiego przełożył
Jerzy Pleśniarowicz

Na sianie — już po zgaszenia światła — sekretarka nawiązuje z głupia frant rozmowę z reżyserem, wy pytując go ostrożnie, czy dziewczyna mu się podoba. Pragnie go skłonić do zajęcia się nią i dla podkreślenia jej zalet niezrecznie używa określeń dosyć niewybrednych. Zabiegi te nie osiagają jednakże spodziewanego wyniku.

W niedzielę, młoda gospodyni ukłęciła sobie włosy, przywdziała różową bluzkę, kwiatciastą spódnicę i buty, poczęła wolniej odmierzać kroki i poruszać się ze swoistą dystynkcją. Zmieniła się z tym wszystkim na niekorzyść. Zaniedbana, w byle jakich fatalaskach i bosa, miała więcej wdzięku.

Ustawiona do zdjęć kamera spoczywa na statywie, przeciwsloneczna przysłona zwisa niedbale. Niebo jest nadal zanieśione, choć deszcz przestał padać. Jeśli potrwa to jeszcze przez dzień jutrzejszy, wówczas wyjedziemy stąd z niczym.

A tymczasem reżyser przysłuchuje się, jak kulawa i ochrypła dozorczyńi zlorzeczy zwiędzającym, którzy zdolali wdrzeć się niepostrzeżenie na szczyt baszty. Aktor i sekretarka waleją się beczynnie wśród zwalisk, na przemian czują się do siebie bądź sprzecząją, zachowując dla pozorów pogodne uśmiechy i miłe miny. Bardziej wścibscy turyści otoczyli kołem operatora, zagadując go denerwująco

o liczne kwestie i wyraźnie sobie zeń pokpiwają.

Wracamy do bazy na obiad, znużeni i źli.

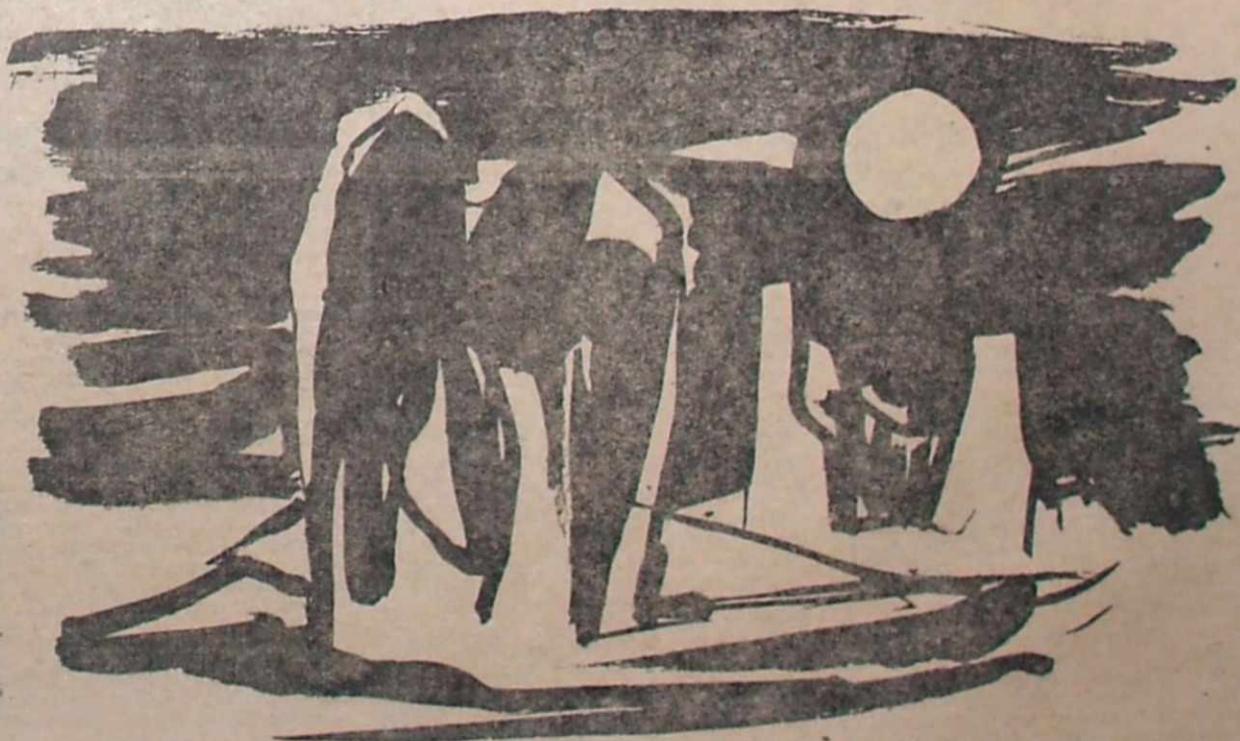
Zrywa się wreszcie burza. Niedługo po niej wychodzą znad horyzontu kłębiaste chmury i przeciągają nad Zamkiem. Wiatr pędzi je jak szalona.

Najwięcej uradowany pojawieniem się słońca jest operator. Utrwała co tylko może, trzema aparatami: nas, gdy biegniemy skacząc przez kałuże, Zamek, Skąły z oddali. Błyskawicznie wymienia obiektywy i filtry. Wyżywa się. Ledwo ocalił kamerę od rozbicia.

Rozległy lan pszenicy — rosnący na łagodnie pochylonym stokcu — rozkofysany jest wiatrem. Po płaszczynach najbliższych przemyka czerwień, a dalej, gdzie wirują kłosa, wyruszają się płyty szarosrebrzyste, półśrodku, w nieustannie powstających załamaniach i wnękach, nieoczekiwanie zmieniają się nasilenia odcieni rdzawych, zlocistych, matowozielonych, zaś wzdłuż przeciwległego skraju suną motonnie pasy o zabarwieniu popielatym.

Zaczmy kręcić film od końca, bo nie ma czasu na zabawę. Scenopis, rzecz jasna, nie pasuje. Operator nie wie, czego wymaga od niego reżyser. Sekretarka nie wie co — i nie wie jak — ma zapisywać. Pierwsza ogólna sprzeczka. Powtórzenie ujęcia.

Nareszcie zaczęła się właściwa praca.



Rys. Alfred Jakubowicz.

WSPÓŁTWÓRCY CYWILIZACJI SWOJEGO NARODU

STANISŁAW LAUTSCH

JAN PARANDOWSKI napisał kiedyś w liście do słuchaczy studium retorycznego w Szczecinie: „Jedno z najcenniejszych rzeczy, jakie Ojczyzna posiada, jest język. Kto kocha swój język, kto go chroni od brzydoty popularyzacji, kto stara się wydobyc z niego tkwiącą w nim siłę, godność i urodę — jest czynnym współtwórcą cywilizacji swojego narodu.”

Imponujący dorobek w zakresie popularyzacji retoryki, w szczególności retoryki prawniczej, ma w tej chwili Kolo Naukowe Prawników Studentów UMCS w Lublinie. Oprócz rozpoczętego cyklu audycji poświęconych zagadnieniom sztuki przekonywania i dyskusji oraz dyskusji w klubie retoryki, a także lokalnych konkursów krasomówczych, Kolo zorganizowało w dniu 31 marca br., w sali Teatru im. J. Osterwy, III Ogólnopolski Konkurs Krasomówczy dla studentów wydziałów prawa. Tę szlachetną imprezę na skalę ogólnopolską zorganizowano z ogromnym wysiłkiem i poświęceniem i trud organizatorów nie poszedł na marne. Widownia teatru z trudem pomieściła interesujących się konkursem.

W szranki oratorskich mów stanęli reprezentanci wydziałów prawa uniwersytetów: krakowskiego, warszawskiego, lubelskiego, toruńskiego i łódzkiego. Wygłaszali oni przemówienia, każdy po 15 minut. Przynosił im to regulamin konkursowego prawa repliki, która mogła trwać 3 minuty. Przemówienia mówców miały bądź charakter obrończy bądź oskarżycielski w zależności od wylosowanych uprzednio ról procesowych. Losowano także wcześniej stany faktyczne stanowiące temat przemówienia, o treści prawnokarnej, zaczerpnięte z autentycznych akt sądowych. Korzystanie z jakichkolwiek notatek było niedozwolone. Okres przygotowania mowy do przemówienia trwał 2 tygodnie.

Konkursowi patronował Komitet Honorowy w składzie: J. M. prof. dr G. L. Seidler — rektor UMCS, Kazimierz Kosztirko — prokurator generalny PRL, Marian Mazur — prezes Sądu Najwyższego i prezes Zarządu Głównego Zrzeszenia Prawników Polskich, Franciszek Sadurski — prezes Naczelnej Rady Adwokackiej, prof. dr Józef Mazurkiewicz — dziekan Wydziału Prawa UMCS, doc. dr Henryk Reniger — prodziekan Wydziału Prawa i opiekun Kola Naukowego Studentów UMCS (organizatora konkursu), Stefan Zaliński — prezes Sądu Wojewódzkiego w Lublinie, Stanisław Kostka — prokurator Wojewódzki w Lublinie, Walenty Lipiec — dziekan Wo-

jewódzkiej Rady Adwokackiej w Lublinie i Jerzy Kwiatek przewodniczący Rady Naczelnej Zrzeszenia Studentów Polskich.

Przemówienie konkursowe oceniło jury w składzie: prokurator generalny PRL — K. Kosztirko (przewodniczący), prof. dr Władysław Wolter, prezes Sądu Najwyższego i prezes ZG ZPP Marian Mazur, prof. dr J. Mazurkiewicz, prof. dr Igor Andrejew, prof. dr Henryk Rajzman, prof. dr J. St. Piatowski, prof. dr A. Stelmachowski, prof. dr J. Sliwowski i dziekan Naczelnej Rady Adwokackiej F. Sadurski.

Jury przyznało pierwsze miejsce Wiesławowi Gumoli — studentowi V roku Wydziału Prawa Uniwersytetu Łódzkiego, II miejsce Bogusławowi Morawskiemu — studentowi IV roku Wydziału Prawa UMCS w Lublinie, III miejsce Marii Koziołkiewicz — studentce III roku Wydziału Prawa UW. Wyróżnienia ex aequo otrzymali: Jerzy Piekarski — student II roku Wydziału Prawa UMCS w Lublinie i Alfred Sikora — student V roku Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Przewodniczący jury III Ogólnopolskiego Konkursu Krasomówczego — prokurator generalny PRL K. Kosztirko, podsumowując wyniki konkursu podkreślił celowość organizowania konkursów krasomówczych, a także wysoki poziom wszystkich przemówień zarówno pod względem ich prawnego ujęcia, jak i walorów językowych. Przemówienie zdobywcy pierwszego miejsca Wiesława Gumoli z UL cechowała właściwa ekonomia słowa, oszczędność w stosowaniu upiększeń językowych, precyzja i jasność wyrażanych myśli i celujące ujęcie prawnego tematu. Przemówienie jego nie wywalało żadnych zarzutów, gdyby było wygłoszone z większą swobodą i swadą oratorską. O mowie prokuratora zdobywcy II miejsca Bogusława Morawskiego można powiedzieć, że cechowała ją przekonująca argumentacja, wyczerpujące ujęcie oraz swoboda przemawiania. Przemówienia dwóch pierwszych laureatów bez wątpienia najlepsze, różniły się między sobą zasadniczo. Mówca lubelski celnie stosował bogate w swojej treści porównania i śmiało wykorzystywał swe możliwości głosowe, jak i gestykulację, podczas gdy lodzianin jak gdyby obawiał się zmieniać barwę głosu, nie używał gestów, nie korzystał z obfitych przenośni czy porównań. Trzeba przyznać, że przedstawiciele lubelskiego Uniwersytetu na tej świetnie zorganizowanej przez Kolo Naukowe Prawników Studentów UMCS (opiekun doc. dr Henryk Reniger), doskonałej lekceji pięknej wymowy, godnie i skutecznie bronili honoru swojej Uczelni — świadczy o tym II miejsce oraz wyróżnienie w Konkursie o silnej konkurencji.

Przy okazji omawiania Ogólnopolskiego Konkursu Krasomówczego, pragnę wysunąć pod adresem właściwych organów pewne postulaty, których realizacja mogłaby się okazać korzystna.

Program studiów wyższych, a w szczególności studiów prawniczych, nie przewiduje retoryki jako odrębnego przedmiotu wykładowego. Absolwent Wydziału Prawa wstępuje w życie zawodowe z większym albo mniejszym bagażem „wiedzy kodeksowej”

(Dokończenie na str. 11)

WIELKA SZANSA STYPENDIA FUNDOWANE

(Dokończenie ze str. 2)

którym wypadnie mu pracować. W wypadku gdy zakład fundujący nie gwarantuje fachowej opieki, praktyka powinna odbywać się w zakładzie o pokrewnej branży w danym resorcie.

Gwarantuje to, że po przyjeździe do pracy od pierwszej chwili będzie pełnowartościowym pracownikiem, ponieważ problematykę zakładu pozna dużo wcześniej. Niewątpliwie jego wartość jeszcze bardziej by się podniosła, gdyby w swojej pracy dyplomowej zajął się zagadnieniem istotnym dla danego przedsiębiorstwa, czy zakładu. Szewska pasja ogarnia na myśl, że częstokroć winny niepowodzenia jest zakład fundator czy szkoła wyższa. Postulowano również zainteresowanie się „dobrego wujka” fundatora wynikami nauki „swojego” studenta, jak i rozważanie ewentualnego stosowania preferencji dla najlepszych w nauce. Czasem bowiem księgowy instytucji czy przedsiębiorstwa przelewał rocznie na uczelnię sumę kilku tysięcy zł, a dyrektor z przerażeniem patrzył na młodą dziewczynę czy chłopca, który mu oświadczył, że jest jego stypendystą i właśnie skończył studia i przyszedł do pracy. Nie zapewniono wcześniej miejsca! Gdzież tu można mówić o zainteresowaniu, czy student zdał egzamin na 2 czy na 4.

Wnioski konferencji postulowały także m. in. podniesienie stawki stypendiów fundowanych o 20% w stosunku do zwyczajnych, przydzielanie stypendiów po wyborze specjalizacji przez studenta, większe zainteresowanie władz uczelni i organizacji młodzieżowych prawidłowym rozdziałem stypendiów wśród studentów.

Nie trzeba być optymistą, by stwierdzić, że poprzedzone poważną dyskusją wnioski są możliwe do realizacji i sprzyjają wykorzystaniu szansy stworzonej przez ten system dla Lubelszczyzny. Dzięki temu można

będzie zapewnić potrzebną liczbę inżynierów i ekonomistów dla Puław, Lublina, Świdnika itd.

Dotychczas nie zawsze chętnie i nie zawsze wszystkie oferty wysyłane do politechnik czy WSE podejmowane były przez studentów. Naprzykład na 126 zgłoszeń do wyższych szkół technicznych zawarto w roku 1961/62 tylko 54 umowy, na zgłoszonych 47 ofert na WSE zawarto tylko 15 umów.

Częstokroć wynikało to z faktu braku znajomości perspektyw rozwojowych Lubelszczyzny, dużych możliwości awansu społecznego czy zawodowego. Likwidacją tych zjawisk zająć się ma proponowany wojewódzki ośrodek koordynujący, złożony z przedstawicieli PWRN, związków zawodowych, uczelni i organizacji młodzieżowych.

Przebieg procesu integracyjnego zakładu — student, szybkość adaptacji tego ostatniego, zależy w poważnym stopniu od niego samego. Stwarza się mu szansę — której częstokroć on nie dostrzega — włączenia go w nurt życia przyszłego zakładu pracy, eliminacji momentu obcości i zaskoczenia w pierwszym okresie pracy.

Nie chodzi tu o to, aby korzystającym ze stypendiów fundowanych stwarzać miraż „ziemi obiecanej”. Chodzi o obiektywne i uczciwe przedstawienie warunków i problemów przyszłej pracy. Młody człowiek chce wiedzieć, co go czeka w przyszłym miejscu pracy, z jakimi sprawami wypadnie mu się zetknąć. Wdrażanie go w tę problematykę już na uczelni wpływa na podnoszenie jego kwalifikacji, ambicji młodzieńczej znajduje ujęcie w rozwijaniu już na uczelni przyszłych problemów. Znajomość całości warunków i zagadnień zakładu i otaczającego go regionu pozwoli szybciej odszukać swoje miejsce, sprzyjać będzie przyjmowaniu aktywnej postawy wobec wielu problemów, istniejącego jeszcze często zła, niefachowości, niekompetencji. Nie będzie się czuł osamotniony i po-

PONIDZIE

LITERACKA
GRUPA MŁODYCH
ZIEMI KIELECKIEJ

ADA KOPCINSKA

„Zapowiedź odejścia

Smutek doświadczeń?

— to mam za sobą
więc teraz lekkość — kwitnienie rąk
palec na śniegu są niczym różę
gdy je podrywasz — chłód wieje stąd
Zabawa w ptaki...

szybują w górę — ten jest na wargach
choć słońce wbiła w paznokciec znak
plamka zazdrości — odlamek szkła
[draży do deszczu]

deszcz spada w głąb
zostaje warkot tych co pomknęły
cztery latawiec jak cztery pory
[nazbyt dojrzałe]

w miarę złośliwe

Kiedy kamienie się usuwają
[z wdziękiem dziewczyny]
co kryje twarz
jest to zapowiedź pewno ostatnia
więc ciężar ciszy

[mokrej i wstrętnej]
właśnie na ustach
— zabierz ją stąd
pełnie bez lęku tak napastliwie
do źrenic które szukają i...
— to już mijanie

W momencie drgania gwiazd
ptaków
warg
łot chce powstrzymać

Ulica życia ma w sobie spryt
skomląc jak szenie u moich nóg
rzuca ładunek tramwajów
aut
i tak odcina od twoich rąk
że każdy słup stojąc

[jak żołnierz]
bagnetem światła zagradza wzrok
ja i tak czuje
— przechodzisz obok.

HENRYK JACHIMOWSKI

Wieża

mam rok 25 dorobiłem się kolegów
[żony czy]

wieża wiersze
hoduje na zagładę naturalnie
jasnowidzem nie jestem poeta
może dorobię się dzieci
piszczyć będą dzieci moje
[wiersze umierające tatuś]
tatuś żona kochany
jesteś tylko dla mnie
Henryku Henryku koleczy mam
jak ja z tym wytrzymam

KONSTANTY TARNOWSKI

Dobrzy ludzie

Slepym szenieciakom oglądamy
[podniebienia]

mówimy
to będzie dobry pies
to będzie zły pies
idziemy nad rdzawą wodę
zapomnianej gliniarki
tajemnicą amplitudy
zamykamy nasze sądy
potem
łańcuch przywiązania
pobrzękuje na naszą cześć
hymn wdzięczności
jesteśmy ludzie dobzy
jesteśmy sprawiedliwi

RYSZARD FATYGA

Odcinanie od drzewa

Ernestowi Bryllowi

Zatem początek jest jak w drzewie,
nacięcie kory aż do miękkiszu,
leczenie rany, szrama
a już następne jest odcinaniem,
modelowaniem,
na obraz i podobieństwo.
Więc każda dziełka
samowolą znaczna
boli oko estety.

Trzeba więc tępić
jak muchy w leśnym mieszkaniu.
Stąd odruch nie taki lub słowo
odrzuć jak odcięty warkocz
należy
uszanowanie estetom złożyć kornie
i z podziwem,
za układność i grzeczność
[uśmiechnięt]

okrutną bojaźnią o los,
maski.

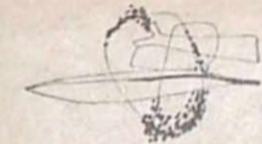
Zatem początek był jak w drzewie —
zgrzyt słów rżnięciu desek podobny.
jęk estetom przytroczony
nastąpił.
Ścieżkę ku drzewom
wówczas już zapomniano.

RYSZARD MIERNIK

Źródło

Tadeuszowi Jaworskiemu

W Rzepinie
Koblety od stu lat
Rodzą w bólach Ikarów.
W Rzepinie
Młoduchy w posagu
Otrzymują
Osikowe jarzmo.
Ikarom w locie
Ramiona drewnięją
Spojrzenia spadają do włader
Kawałami gliny.
Słońca tyle
Co w pogubionych igrz.
Coraz więcej
Bezradnej nienawiści.
Na świętokrzyskie pola
Od stu lat
Pada cień Ikara
Zakłętego w osikowe jarzmo.



MARIAN BARAN

Ziemia

Nie dano mi żyć
twa prosta miłością,
bo świat twój
— rozwleczon statystycznym

[gestem —
nie ścina już widnokrąg
rozdartego nieba.
Bo głos twój
to słup ścisnięty w kleszcze,
chareczący tonami obłędu.
Śmiech twój
— cykający geiger —
roztańczony z obłąkaną śmiercią,
ze mną w ramionach —
aż podniosą pełne dynamitu pięści
i będzie to ostatni
wyrabany chodnik
i będą to ostatnie
wydaliny ziemi.

krzywdzony przez życie. Podejmie
działanie na miarę swych młodzień-
czych planów czy ambicji.

Zaoszczędzi mu się w ten sposób
niepotrzebne „walki z wiatrakami”.
Przygotowanie takiego absolwenta na-
kłada obowiązki, ba, czasem zakłada
konieczność modyfikacji procesów dy-
daktycznych i wychowawczych szkoły
wyższej i organizacji młodzieżowych.
Absolwent, jego kwalifikacje nie tylko
ko zawodowe, ale i społeczne, są dla
nas problemem zasadniczym.

Prawidłowość naszych poczynań
i wniosków potwierdzają dyskusje
i konfrontacje z młodą inteligencją,
z tymi, którzy już w terenie tworzą
to nowe, które niesie z sobą socjalizm.

Kazimierz Gieron

PRZEGLĄD LITERACKI

ZBIGNIEW PĘDZINSKI

LITERACKA popularność Sławomira Mrożka, której najlepsze świadectwo znaleźliśmy w zniknięciu z półek księgarskich jego najnowszych tomu opowiadań pt. „Deszcz”, jest zjawiskiem dość symptomatycznym. Nie można tej symptomatyczności skwitować „kusem na satyrę”, która od wielu lat choruje w naszym kraju na chroniczną i złośliwą anemię, ponieważ — czego dowodzi właśnie „Deszcz” — proza i dramaturgia Mrożka wydaje się jak najdalej od łatwizny doróżnego, sytuacyjnego dowcipu czy anegdoty — jak najbliższa za to ironii w pryncypiach, sokratyczno-norwidskim wymiarze. Przywołanie na patronów „Deszczu” znakomitego filozofa i genialnego poety nie wydaje mi się bluźnierstwem, jako że na obraz i podobieństwo bohaterów platońskich dialogów, aktorów „Pierścienia wielkiej damy” Mrozek lepi nie tyle postaci ze swoich opowiadań, ile tych postaci obserwatora, spowiednika i sekretarza. Tropienie głupstwa, szyderstwo z zakłamania, obnażanie podłości — ulubione zajęcia urodzonych pod gwiazdą Woltera i Diderota moralistów literackich — staje się pod piórem twórcy „Testamentu optymisty” pasjonującą, płodną w estetyczne wartości przygodą intelektualną, do której okazji dostarcza pierwszy lepszy wycinek powszedniości, człowiek wybrany na chybił trafił z otaczającego nas na co dzień tłumu.

Opukiwanie, osłuchiwanie współczesnych postaw moralnych jest też — na inny od Mrozkowego — sposób ulubionym zajęciem narratora i głównego bohatera „Wizerunku otwartego” Wandy Karczewskiej. W przeciwieństwie do twórcy „Deszczu” Karczewska przypomina się publikacjami dość rzadko czytelnikowi, najczęściej jako poetka, choć wydane przed kilku laty „Odejsie” (świeża, wchodząca w twórczy konflikt z obiegowymi schematami artystycznymi, wizja polskiego Września) zademonstrowała pasjonującą beletrystyczną umiejętność pisarki. „Wizerunek otwarty” znaczy krok dalej w obranym przez Karczewską kierunku, przy czym pretekstem do twórczego eksperymentu staje się znowu zużyty chwyt literacki, zamknięty choćby w „Gozdnie myśli” (żeby nie wypomnieć przeróżnych „Szczepionych lat” i „Dziur w niebie”) powrót do krainy bohaterów, lat dziecińczych, czasów młodości. Narratorowi „Wizerunku” chętnie powierzyłbym okulary Sławomira Mrożka, tyle w jego obserwacjach indywidualnych wzlotów i społecznych upadków (umiejscowionych w polskim dwudziestolecu) jest przenikliwej, mądrej ironii, której źródła wydają się wspólne i dla „Deszczu” i dla opowieści Karczewskiej. Ale konkretyzacja artystyczna wypada u obu pisarzy zgoła inaczej: Karczewska nie lubi Mrozkowej żonglerki symbolami, woli mieć do czynienia z żywymi, pełnokrwistymi ludźmi, których momentami tylko rzuca w metaforyczne sytuacje, alegoryzujące zdarzenia. Ale właśnie wówczas podejmowana „Wizerunkiem otwartym” demaskacja podwójnej, moralnej buchałki stale się najcelniejsza, najbardziej wstrząsająca spokojem i sumieniem czytelnika.

Moralny wstrząs wydaje się również celem ostatnich dwóch tomów opowiadań Władysława Dunarowskiego: „Niepotrzebni” i „O złej dziewczynie”. Dunarowski od dawna (wspomniane tomy są jego dziesiątą i jedenastą książką) związał się z „tematem wiejskim” i dlatego jego ironia, jego oburzenie moralisty ma wyraźne, zdeteminowane klasowo ostrze społeczne. To, co u Mrożka, a nawet momentami u Karczewskiej, przybiera chętnie kształt przypowieści — w prozie Dunarowskiego obrasta realiami, tkanką psychologicznej obserwacji, materia socjologicznego opisu. Cel tych wiązanych ironią moralistą zabiegów nie budzi w swojej dosłowności wątpliwości: autor „Niepotrzebnych” nie potrafi do dziś przejść do porządku nad tymi objawami społecznej niesprawiedliwości, nie tylko indywidualnego zakłamania, jakie zaobserwował, doświadczył na międzywojennej wsi, powraca wciąż

JAKBY dla przypomnienia mi przysłowiła o marcu i garncu, w czasie mego wypadu do Ziemi Elekkiej nastąpił dość ostry nawrót zimny. Szyby w przedziale zamarzyły, było zimno i nieprzytulnie, w dodatku nie zdążyłem zjeść śniadania i czulem dotkliwy głód, co w sumie nie nastrajało optymistycznie. Jak to bywa w takich fazach, obudził się we mnie malkontent. Jeszcze jeden dom kultury — myślałem — małutka, żenująco małutka grupka stałych bywalców, trochę reklamy wokół interesu i to wszystko. Po co właściwie jechać, kiedy na podstawie znajomości kilku podobnych gromadzkich domów kultury

KALINOWIACY

ALEKSANDER
GABRUSIEWICZ

można zyskać wystarczająco trafny obraz takiej placówki? A o Kalinowie (jak już mi na nim tak bardzo zależy) — zasięgnąć opinii w Wydziale Kultury?

Lecz niewygasła iskierka uczciwości dała znać o sobie: Pewnie, że można. Tak samo nie czytając książki, a tylko parę recenzji, można o niej napisać jeszcze jedną recenzję.

Malkontent nie znalazł na to repliki. Zresztą zbliżał się pierwszy etap podróży — Elk, Stamtąd, po niedługim czasie, już w towarzystwie pana Wiesława Dąbrowskiego jadę do Kalinowa. Pan Dąbrowski, — młody

do nich, analizuje, ocenia i oskarża z uporem, dociekiwawczo. Przyczyny owego uporu można domyślić się ze stosunkowo nielicznych opowiadań, które w omawianych tomach Dunarowski poświęca współczesnej, powojennej wsi polskiej; pisarz po prostu obawia się relikwów ukształtowanej w dwudziestolecie (i nie tylko wtedy) obyczajowości, wykrywa ich toksyny, przestrzega i uodpornia przed zatruciem nimi społecznego organizmu. Inna rzecz, że ów szlachetny ideowo upór Dunarowskiego nie zawsze należyce rentuje artystycznie, może przede wszystkim dlatego, że autor „Niepotrzebnych” zbyt wyłączenie ostatnimi laty wypowiada się w prozie nowelisticznej, nie mogąc jakos zdobyć się na poddanie swojej koncepcji próbie powieści. A wolno i należy od Dunarowskiego takiej powieści oczekiwać.

Spore również nadzieje wiąże z jednym z najciekawszych debiutów nowelisticznych, jakie ostatnio zdarzyło mi się czytać, z „Lepszym obiadem” Ireny Dowgielewicz. Ta niezna dotąd (z zawodu architekt, mieszkająca w Gorzowie Wielkopolskim) pisarka pasjonuje się również moralnymi postawami ludzkimi, które ogląda i opisuje z — stanowiącym jakby drugie oblicze ironii — współczuciem. Łatwo tutaj o sentymentalne, tkliwe i okliwe, potknięcia zwłaszcza kiedy — jak w przypadku większości opowiadań Dowgielewiczowej — terenem obserwacji jest szpital, przedmiotem narracji — cierpienie, podmiotem — człowiek nieszcześliwy, „nieudany życiowo”. A jednak autorka „Lepszego obiadu” wychodzi z takich opresji na ogół obronna, niekiedy nawet zwycięska reka, potrafi odkryć nowy ton w oklepnych, zdawałoby się, do cna sytuacjach ludzkich i międzyludzkich, potrafi nadać świeży, emocjonalny i artystyczny kształt miłości ojca do córki, mężczyzny do kobiety, człowieka do życia. Oczywiście, można wytknąć „Lepszemu obiadu” przegadania w kompozycji, przejawskawienia naturalistyczne w stylu, przesubtelnienia w tkance psychologicznej — ale wszak to dopiero pierwsza książka Ireny Dowgielewicz.

I jeszcze jedna diagnoza pozwalałabym sobie na zakończenie odnotować: sadząc o „Deszczu”, „Wizerunku otwartym”, „Niepotrzebnych”, „O złej dziewczynie” i „Lepszym obiedzie” — penetracja społecznych i indywidualnych postaw moralnych ma w polskiej literaturze kolosalną przyszłość!

Sławomir Mrozek: Deszcz, Kraków 1962, Wyd. Literackie. Wanda Karczewska: Wizerunek otwarty, Warszawa 1962, Czytelnik. Władysław Dunarowski: Niepotrzebni, Gdynia 1962, Wyd. Morskie. O złej dziewczynie, Łódź 1962, Wyd. Łódzkie. Irena Dowgielewicz: Lepszy obiad, Poznań 1962, Wyd. Poznańskie.

szczypliwy brunet — jest kierownikiem elckiego Domu Kultury i z tego tytułu ma w swojej moralnej (jak się potem okazało, nie tylko moralnej) pieczy Gromadzką Dom Kultury w Kalinowie. Opowiada o celu naszej podróży.

— Uchwała o budowie tego domu zapadła jeszcze w 1961 r. Ale wtedy nie było środków. W zeszłym roku rozpoczął w miejscowej szkole pracę absolwent elckiego SN-u, Jerzy Kopiczko, i zajął się miejscowym kołem ZMW. Oczywiście nie on jeden popchnął całą sprawę naprzód. Tam jest kilku takich zapaleńców, zobaczy pan. Ale jak tylko budowa miała ruszyć z miejsca, oni, ci z ZMW, od razu wzięli się do roboty przy wykopie fundamentów...

Jesteśmy na miejscu. Dom kultury nie wygląda zbyt okazale. Ot, taka większa stacja benzynowa z kawiarnią gdzieś na trasie Warszawa — Kraków. Frontowa ściana niższa, za nią znajdują się trzy pomieszczenia: hall, biblioteka i salka klubowo-telewizyjna. W głębi jedno większe (i wyższe) — sala kinowo-teatralna. Scena bez zaplecza i urządzeń pomocniczych. Pojemność ok. 60—80 miejsc.

W rozmowie z sekretarzem Gromadzkiej Rady Narodowej, Michałem Nusbaumem, nawiązując do udziału młodzieży w czynach społecznych przy budowie domu.

— Nie tylko oni pomagali. Do gromady Kalinowa należy dziewięć wsi. Nie było wypadku, żeby mieszkańcy którejś z nich nie dołożyli swojej choćby najskromniejszej cegiełki do tej budowy. Jak to prace? Przede wszystkim transport. Tu dużo nam pomógł sąsiedni PGR. A ponadto cegła. Młodzież i dorośli rozebrali stary budynek murowany i cegły zużyliśmy na fundamenty. Wreszcie piasek i żwir... No i tak ziarno do ziarnka i wyszła z tego miarka całkiem niemala, bo około 40 proc. wszystkich wydatków pokryliśmy ze świadczeń społecznych.

Jerzy Kopiczko — obecnie kierownik Domu Kultury — mówi:

— Ale to jeszcze nie koniec. Dużo zostało do zrobienia. Budowaliśmy trochę w złym czasie, na sufitych powstały zacieki, trzeba będzie suszyć budynek, trzeba zakupić niezbędny sprzęt, marzymy o telewizorze... No, ale pracę już rozpoczęliśmy, bo Dom Kultury został otwarty w lutym tego roku. Nasze kółko artystyczne wystawiło na otwarcie „Skarb Stefana Ziemby”. Żeby pan wiedział, z jakim zapalem młodzież przygotowywała tę sztukę. Teraz myślimy o jakimś programie składanym. Mieliśmy spotkanie z Michałem Rusinkiem, mówił bardzo ciekawie o swojej podróży do Japonii. Pan Dąbrowski przywiózł go tu po prelekcji w Elku. Frekwencja nie była duża, ale ci co byli przedkto teo nie zapomną i teraz przy podobnym spotkaniu nie starczy nam krzesel...

— A jak z oświatą? — pytam.

— To się wiąże z zakupem aparatury filmowej. Powiatowy Dom Kultury obiecał nam już wypożyczenie wszystkich filmów oświatowych, jakie będą mieli. Prawda, panie kierowniku? Pan Dąbrowski uśmiecha się na takie chytre „podbieranie”, ale potakuje.

— Nie tylko Pedek — wtrąca się milcząco dotąd kierownik Ośrodka Zdrowia, dr Kobyłecki. — Mamy też obiecane filmy z lubelskiego instytutu higieny wsi. Zresztą chcemy tę akcję prowadzić i za pośrednictwem innych ośrodków. Mam zamiar wygłosić cykl pogadanek (w ramach tzw. szkoły zdrowia) dla kobiet o racjonalnej pielęgnacji niemowląt. Tu na Mazurach jest stosunkowo dużo zachorowań wśród dzieci. Cóż, społeczność napływowa, z oświatą sanitarną nie najlepiej...

— Oprócz doktora, który jest członkiem Rady Społecznej Domu, nawiązaliśmy współpracę z agronomem — wtrąca p. Kopiczko. — W przyszłości chcielibyśmy otworzyć u nas Uniwersytet Powszechny, może nam się to uda... W każdym razie, co dla nas w tej chwili jest najważniejsze, jedyna dotąd we wsi instytucja „kulturalna” — miejscowa knajpa — przestanie być zasadniczym ośrodkiem życia towarzyskiego, szczególnie w przypadku młodzieży.

W powrotnej drodze do Elku czorczik-sceptyk argumentował:

— A jednak dach tam trochę przecieka. Wiadomo, pośpiech neofitów. Plany mają olbrzymie? Wiadomo, na początku jest tak zawsze. He to już klubów, choćby w Białymstoku, a chwilą otwarcia trąbi na prawo i na lewo, czego to się tam nie robi. A jakie będą spotkania, filmy, wystawy, rozrywki, jaka wspaniała kawa! Po kilku miesiącach okazuje się, że paru znudzonych gra w brydża, paru w bilard, telewizor uszkodzony, a kawy w

ROZMOWY O PROJEKCIE KODEKSU KARNEGO

(Dokończenie ze str. 6)

czyni zadość praktyce i nie uwzględnia w dostateczny sposób tendencji, które wykrystalizowały się w polityce karnej sądów.

— A jaki jest stosunek projektu do sprawców najdrobniejszych przestępstw?

— Projekt nie podejmuje bezpośrednio problemów przestępczości drobnej zagarnięcia mienia i nie wprowadza odrębnych przepisów w tym zakresie, jak to czyni np. kodeks karny Republiki Rosyjskiej. Nasz projekt rozwiązuje to przez instytucję nadzwyczajnego złagodzenia kary, przez co jego surowość zostaje stepiona.

— Niektórzy dyskutanci uważają to za dobrą cechę projektu.

— A przecież w praktyce można się spodziewać zbyt częstego stosowania takiego złagodzenia, które z nadzwyczajnego przejdzie w zwyczajne. Tak szeroko rozbudowana instytucja nadzwyczajnego złagodzenia kar nie jest — moim zdaniem — wychowawcza. Uważam, że lepiej z góry wymierzyć odpowiednią karę, niż potem sztucznie ją łagodzić.

— Hm... Mówimy, że żołnierz nosi w tornistrze buławę. Tu można by niemal powiedzieć, że przestępca nosi w zanadrzu amnestię. Ale jeszcze dwa pytania, panie prezesie. Pierwsze — chodzi mi o przestępców kwalifikowanych postaci zabójstwa, i drugie — co jeszcze nowego jest w projekcie?

— W projekcie jest kilka kwalifikowanych postaci zabójstwa w różnych rozdziałach. Projekt w art. 180 zapewniła wzmocnioną ochronę aparatowi Milicji Obywatelskiej.

— Jakie są głosy w dyskusji na ten temat wśród prawników?

— Uczestnicy dyskusji podkreślają, że wzmocnioną ochroną powinni być objęci także funkcjonariusze innych organów pełniący podobne funkcje społeczne, którzy nie mniej są narażeni na niebezpieczeństwo z racji pełnienia tej funkcji. Jeżeli zaś chodzi o surowość potraktowanie zamachów skierowanych przeciwko funkcjonariuszom MO, którzy są szczególnie narażeni na niebezpieczeństwo, powinno się to przejawiać w wyrokowaniu.

Jeżeli chodzi o drugie pytanie, to no, art. 394 projektu stanowi, że pracownik instytucji państwowej lub społecznej, który będąc zobowiązany do jakiejś czynności odmawia obywatelowi jej wykonania, albo też w inny sposób utrudnia obywatelowi jej załatwienie — może być ukarany więzieniem do 3 lat lub grzywną. Takie przestępstwo nie było znane w dotychczasowym ustawodawstwie. Przepisowi temu przyswiecają piękne intencje ochrony obywatela, walki z biurokracją, mitemą, zwlekaniem załatwienia sprawy.

— I na dodatek proszę o ocenę ogólną.

— Będziemy mieli wreszcie jeden kodeks, co znacznie ułatwi pracę sądów, prokuratury, adwokatów. Niewątpliwi dyskusja w różnych środowiskach pozwoli na ostateczne, społecznie najbardziej właściwie ukształtowanie tekstu projektu Kodeksu Karnego, a także wpłynie uświadamiająco i wychowawczo na całe społeczeństwo.

Z Prezesem Sądu Wojewódzkiego
w Lublinie
rozmawiał Jerzy Dostatni

ogóle nie ma, bo kawiarka zwolniona za manko.

— No tak — mówił duszek-optymista — ale tam są kina, teatr, no i, przynajmniej szczerze, trochę zdegustowanego wybrzydzenia. Tu ludzie zaczynają od początku, dla nich to wszystko jest nowe, pociągające. Dla nich to jest jakieś przewietrzenie obyczajowego zaduchu. W Białymstoku wybrzydzą się nieraz na bardzo wymyślne inscenizacje teatralne, tu banalny „Skarb Stefana Ziemby”, wykonany chyba dość prymitywnie — to wydarzenie. W końcu jest to jakiś krok naprzód, po którym spodziewać się można następnych.

Malkontent zamilkł. Duch optymistyczny wykrzywił gębę w uśmiechu. Może dlatego, że pod wieczór ociepliło się i byłem najedzony?

A może nie tylko...



Rze- szow- skie wy- stawy

Jan Maternicki — „Rzeszów, ul. Piasta” (olej). II nagroda w konkursie „Miasto, w którym żyjemy”.

wątpliwie podnieta i natchnieniem w przynajmniej dwóch artystów.
Drugą ekspozycją, na pewno godną uwagi, jest wystawa prac uczniów dwóch rzeszowskich szkół plastycznych województwa rzeszowskiego: Liceum Techniki Plastycznej w siedzibie Małopolskim i Liceum Sztuki Plastycznej w Jastrzębiu. Oglądamy tu wiele dyscyplin plastycznych — począwszy od malarstwa i rysunku, poprzez rzeźbę, plakaty, metaloplastykę, haft, koronkarstwo i tkaninę dekoracyjną. Na podstawie tych prac można stwierdzić, że obydwie szkoły wykazują wysoki poziom artystyczny. Niektóre prace radiowały się dojrzałością artystyczną. Jest to niewątpliwie zasługa artystów-pedagogów, którzy potrafili uzyskać tak dobre wyniki z pracy z młodzieżą.
Prace malarstwa obydwoh szkół odznaczają się dużą wiedzą plastyczną przy równoczesnej szczerości i świeżości, a nawet pewnej żywiołowości i spontaniczności wypowiada. Książka i plakat niekiedy zastępują pracami dorosłych artystów. Ekspozycje z zakresu koronkarstwa i haftu cechowane są finezją formy, pięknymi zestawieniami kolorystycznymi, znaczną precyzją techniczną. Również metaloplastyka okazuje się w postaci pięknej artystycznej formy. Spodziewać się zatem należy, że wychowankowie obydwoh szkół przyczynią się w dużym stopniu do szerzenia kultury plastycznej. Z pewnością wielu absolwentów znajdzie się na wyższych uczelniach artystycznych naszego kraju, gdzie będą mogli w dalszym ciągu pogłębiać swą wiedzę i rozwijać talent.

TRADYCJE POWSTAŃCZE

(Dokończenie ze str. 4)
lających nowe, dawniej ukryte źródła archiwalne. I tutaj należy postawić zagadnienie: czy wszystko, co się składało na pełny obraz powstania, zostało udokumentowane? Dalej, czy wszystkie źródła dochowały się do naszych czasów? Według mojego przekonania, na oba pytania można śmiało odpowiedzieć przecząco.
Każdy doświadczony badacz terenowy wie doskonale, że jedne wypadki historyczne utkwiły w tradycji bardzo silnie, — np. napady tatarskie, walki konfederatów brzeskich — inne przeszły prawie bez echa. Otóż na terenie województwa rzeszowskiego, a zwłaszcza w północnej jego części, graniczącej kiedyś z „Królestwem Polskim”, tradycje powstania styczniowego do dziś są żywe. Przecież wtedy szli ludzie i bron na teren walk w Lubelskie i Kieleckie, wtedy przewożono rannych i chorych na teren „Galicji”. Słychać tutaj ciekawe opowieści.
Wiem z doświadczenia, że młodzież szkół licealnych, zwłaszcza humanistycznych i pedagogicznych, odpowiednio pouczona i nastawiona (a mnóstwo jej pochodzi ze wsi) mogłoby zebrać ogromną ilość tradycji powstaniowych, kuczowo trzymających się zasztych w lasach wsi i przysiółków. One właśnie były świadkami wypadków, które unikały utartych dróg i znanych osiedli.
Koncząc wysuwam konkretną propozycję: zlecić młodzieży wyższych klas licealnych, w naszym wypadku w województwach: kieleckim, rzeszowskim i lubelskim, w ramach wypracowań domowych z języka polskiego, zebranie tradycji powstaniowych. Odpowiednio opracowane, następnie wydane, mogłyby być ciekawym źródłem historycznym i pamiątką stoletniej rocznicy.

Franciszek Kotula

INTELEKTUALIZM — DOPRAWDY?

(Dokończenie ze str. 5)
styczna i językowa celność i odkrywczość.
Braku myśli nie zasłapi jednak pseudo-intelektualne gaworzenie. Prawda, że cechy i manierysty współczesnej młodej poezji mogą powiedzieć coś niecoś socjologowi i psychologowi o pokoleniu, które tę poezję tworzy. Ale ten brak precyzyjnej i jasnej myśli fatalnie oddziałuje na powiększenie się rozdziału między poezją współczesną i czytelnikiem. Uwzględniając niedouczenie i nieobecność z nową sztuką, dla których nie powinno być usprawiedliwienia, nigdy jednak nie lekceważyłam tego groźnego dla sztuki dystansu. A więc — nie tylko trudności nowej stylistyki i nowej formy tkwiącej w samej sztuce. To, co pogłębia niepopularność poezji — to brak myśli — okrywany często pozorami intelektualizmu.
Uwagi te nie dotyczą wybitnych indywidualności młodego pokolenia poetów — ale tej masy średnich i początkujących, która decyduje o ogólnym obrazie poezji, przynajmniej wtedy, gdy się patrzy współcześnie, bez dystansu historycznego, gdy poezja ta staje się na naszych oczach.

Anna Kamińska

BIAZACTY rok 1977 rozpoczął się w Galicjanach rzeszowskiego Biura Wystaw Artystycznych kilkoma trwałymi równocześnie ekspozycjami plastycznymi. W górnym jak zwykle przepływie Międzywojewódzkiego Liceum prace nadlane na konkurs pod hasłem „Miasto, w którym żyjemy”, ogłoszony przez Wydział Kultury i Przemysłu Miejskiej Rady Narodowej, ZPAP i BWA w Rzeszowie.
Konkurs ten wzbudził duże zainteresowanie wśród mieszkańców Rzeszowa.
Laureatami konkursu zostali: Jan Maternicki, Helena Majewska, Adolf Jakubowicz, Alfred Kud, Bolesław Dusza, Jan Majewski, Marian Ziemiński.
Należy podkreślić, że prace pokazane na wystawie odznaczały się zarówno wartościami artystycznymi, jak i ideowo-treściowymi. Specyfika miasta, organizmu, który żyje, rozwija się i rośnie, znalazła w twórczości rzeszowskich artystów wyraz różnorodny i bogaty. Ze szczególną wrażliwością jako jest niewątpliwie udziałem artystów, ukazują kontrasty i spięcia, istotę przemian, gwałtownych skoków dokonujących się w rozwoju naszego miasta: ujawniają jego urodę.
Obserwujemy szeroki wachlarz środków wyrazowych, rozległą skalę zainteresowań tematycznych. Obok lirycznych w nastroju, podmięskich pejzaży, pełnych zadumanej romantyki ujęć starych uliczek, znajdujemy nowy Rzeszów, gdzie zwarte przejrzyste kompozycje kolorowych wesołych bloków zdają się być pochwałą radości dnia dzisiejszego. Konkursowa wystawa potwierdziła, że Rzeszów — miasto, w którym żyjemy, którego przeobrażenia są udziałem wszystkich jego mieszkańców — jest nie-

TWÓRCZA KONFRONTACJA

IRENEUSZ JAN KAMIŃSKI

W SPÓLPRACIE kulturalna czterech wschodnich województw wydaje już liczne, wartościowe rezultaty. Jednym z nich jest otwarta w dniu 4 kwietnia br. w salach wystawowych BWA w Lublinie I Wystawa Malarstwa i Grafiki okręgów: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego, na której zgromadzone 120 prac, w tym ponad 90 płócien malarskich.
Organizatorami wystawy są wydziały kultury PWRN i okręgi ZPAP czterech województw oraz BWA.
Ekspozycja malarstwa Polski wschodniej uwiarydla kilka zasadniczych tendencji wynikających z innych postaw artystycznych, z różnego uwarunkowania teoretycznego. Ogólnie biorąc, malarstwo przedstawiające posiada zdecydowaną ilościowo przewagę nad pozostałymi kierunkami, a więc nad abstrakcją typu geometrycznego, informalem i „malarstwem przedmiotów”.
W granicach malarstwa przedstawiającego mieści się dość liczna grupa prac, których rodowód formalny sięga czasów koloryzmu polskiego i postimpresjonizmu. Taki właśnie charakter reprezentują prace A. Świątkowskiej z Kielc („Misteczko”), Wojniaka (ZPAP — Białystok), lublinianina M. Makarskiego („Kazimierz nad Wisłą”) oraz S. Szumca z Rzeszowa („Portret”).
Osobnym rozdziałem postimpresjonizmu są prace Kononowicza (Lublin) „Pejzaż zimowy” i „Martwa natura”, osobnym ze względu na wieloletnią konsekwentną linię tworzący tego artyści. Z dwóch wystawianych prac ciekawsza wydaje się być „Martwa natura”, o bogatej fakturze i świetlistym kolorze.
Konieczna jest wzmianka o W. Kurpielu (Kielce) wystawiającym trzy płótna: „Bulwary nad Sekwaną — Paryż”, „Fama-gusta — Cypr” oraz „Folklor wschodu — Beirut”. Wszystkie te płótna wibrują nasyconym kolorem, doskonale oddają atmosferę egzotycznego wschodu i pogodę paryskich bulwarów.
Historyczne dziś tendencje własne postimpresjonistycznej transformacji rzeczywistości są dość żywe we wszystkich czterech wschodnich województwach, lecz nie one określają malarstwo tych rejonów. Dominują realizacje, które pozostają w kręgu malarstwa przedstawiającego operując skrótem formalnym, dokonując syntez, co daje rozwinięta częstokroć bardzo interesująca. Taki typ obrazowania reprezentują rzeszowianie: A. Kud i Zuzanna Kusek-Kud. „Portret podwójny” A. Kuda cechuje równowaga syntetycznie ujętej formy, harmonia trójkątnej i prostokątnej płaszczyzn tworzących dwie sylwetki ludzkie o ciekawej kolorystyce rozegranej w tonacjach brązu, szarości i żółtego. Pomimo powinowactwa formalnego nieco odmiennie przedstawia się „Pejzaż z Rzeszowa” Z. Kusek-Kud, utrzymany w chłodnej tonacji białej i niebieskiej (ożywionej pomarańczowymi plamami), a przedstawiający pejzaż miejski z akcentami cerkiewnych wieżyczek. Całość, czys-

ła w kompozycji, należy do ciekawszych przez ekspozycję.
Podobnie udanym można nazwać płótno K. Grodzkiego (Kielce). Wykonane techniką mieszaną, dobre kolorystycznie odznacza się lekkością i harmonią barw wypełniających kontury domków położonych na nasyconym żółtym tle.
Dużych rozmiarów płótno E. Nadulskiego (Lublin), zatytułowane „Wysiedlency”, to kompozycja wielofiguracyjna, pełna tragicznego wyrazu, ukazująca ludzi bez tchu. Całość utrzymana w przytłumionej kolorystyce, oszczędna w formie i budowie.
Interesującą kompozycję i dużą kulturę kolorystyczną reprezentują „Łódź” C. Chudzik, a „Godzina zwierzeń” i „Wieczorny koncert” D. Labanowskiej, to zwarte dzieła o dużej malarskiej autonomii. Obie artystki pochodzą z Białegostoku.
Prac operujących syntetycznie potraktowaną formą jest na wystawie dość dużo, tak że nie sposób wszystkich przeanalizować. Ograniczam się jedynie do wymienienia płócien takich jak „Zona” H. Papierniaka (Kielce) — rzecz pełna subtelności napiecia barwnych płaszczyzn, o dużym wyrazie emocjonalnym, pomimo daleko posuniętej eliminacji przedstawiających szczegółów.
Wśród płócien operujących intensywną fakturą godną uwagi jest „Cementownia Wierzbica” H. Krysińskiej (również Kielce), obraz o dużej rytmice i wewnętrznej zwartości.
W. Filipiaka (Lublin) „Kompozycja”, płótno znacznych rozmiarów, sprawia wrażenie raczej dekoracyjnej, chociażby przez technikę konstruowania powierzchni imitującej mozaikę. Drugie płótno „Kobietka z gitarą” o wyważonej, właściwej Filipiakowi kolorystyce, jest na pewno ciekawsze malarsko.
Do bardzo dobrych kolorystycznie zaliczyć należy jeszcze jedną realizację wspomnianą już przy innej okazji A. Świątkowskiej z Kielc. Jej „Martwa natura” — to przykład świetnej, wibrującej świetlistości kolorystyki podporządkowanej oszczędnej kompozycji.
Odmienną grupę malarskich realizacji stanowią płótna abstrakcyjne. Te, które widzimy na wystawie, należy określić jako udane.
W. Paciak (Kielce) wystawia dwa płótna: „Kompozycja I” i „Cień Oświęcimia”. Obydwa interesujące ze względu na typ asocjacji przez nie wywołanych.
Do bardzo dobrych zaliczyć trzeba dwie wykonane techniką mieszaną o subtelnej monochromatycznej kolorystyce i bogatej fakturze. Podobnie godny uwagi jest znakomity „Pejzaż” M. Strońskiego (Rzeszów). Skomponowany w odcieniach fioleto-zielonych oraz szarości, urzeka kosmiczną niewidzą, o dużej muzyczności i wewnętrznym ruchu.

„Złom” T. Hainrycha z Kielc reprezentuje niebanalną fakturą kompozycję utrzymaną w czerwonej tonacji.
Monochromatyczny „Ptak” W. Serwan (Białystok), oszczędny w swoim linearystycznym, przypomina dawne, paleolityczne rysunki jaskiniowe. Jest on udany przykładem wyszukaną twórczością nieskomplikowanego motywu.
Abstrakcje, powidzmy poetycką reprezentacją płótna H. Niemczak-Majewskiej Subtelna i zarysem oszczędna kolorystyka, uniejętne tonowanie barw przy ciekawej kompozycji ujętej w delikatny kontur. „Jesień” i „Pejzaż” wykazują niejakie podobieństwo do twórczości Makarewicza.
Mniej interesujące niż zazwyczaj płótno wystawia lublinianin A. Kołodziejek „Widok z okna” i „Kompozycja” są pozbawione właściwej tematyki twórcy wewnętrznej organizacji.
Odmienna w charakterze, monochromatyczna „Kompozycja” Z. Ostrowskiego — to przykład wysokiej klasy umiejętności operowania fakturą płótna, dającego szerokie możliwości zaskakujących interpretacji.
„Malarstwo przedmiotów” prezentują dwaj autorzy: K. Kurzątkowski z Lublina i A. Szymanik z Białegostoku. Oba wystawiają „Kompozycje” wykonane techniką mieszaną (drzewo, gips, kamień). Praca K. Kurzątkowskiego ukazuje możliwości twórczego wyszukania naturalnych form przyrody (oryginalny kształt korzenia). A. Szymanik osiąga ciekawy efekt dzięki wtopionym w gips kamieniom. Jedyne zastrzeżenie pod adresem tego ostatniego wiąże się z zastosowaniem dwóch odmiennych, nieco skłóconych tworzyw, o różnych fakturach.
A. Jedliczka (Lublin) wystawia obraz „Informelowy” „Pająk”, wskazujący na ciągłość drogi twórczej tego artysty — płótno o koncentrycznym układzie i niepokojącej kolorystyce.
Prace malarstwa abstrakcyjnego pokazane na wystawie reprezentują dość równy poziom, lecz zarazem wskazują na niebezpieczeństwo grożące abstrakcji w ogóle: wyczerpanie inwencji twórczej w tego rodzaju malarstwie, powielanie zastarych rozwiązań. Zrozumiała jest przecież rzeczka, że eksploatowanie samej formy musi mieć swoje granice. Na marginesie chcę dodać, że powyższe uwagi dotyczą także innych rodzajów malarstwa. Na pytanie: Co więc dalej? niestety nie ma jeszcze odpowiedzi.
Grafika, znacznie skromniej reprezentowana, przynosi jednak kilka wcale udanych rozwiązań. Do nich zaliczyć należy np. linoryt Z. Strzałkowskiego (Lublin) z cyklu „Dobry ptak Alisio”, ciekawe w formie, o dalekich asocjacjach przedmiotowych. Interesującą przedstawia się monotypie B. Cetnera (Kielce), syntetyczną, doskonale skomponowaną („Pietwonożkiwie”, „Strajk głodowy”). W tym miejscu można wymienić barwną monotypie M. Strońskiego (Rzeszów) „Kompozycja”.

(Dokończenie na str. 11)

WSPÓŁTWÓRCY CYWILIZACJI SWOJEGO NARODU

(Dokończenie ze str. 8)

wej", zaś umiejętność mówienia, przekonywania i prowadzenia życiowej dyskusji posiada jedynie w zakresie takim, jaki na własną rękę osiągnął. Tymczasem doświadczenie życiowe uczy, że tylko jednostki potrafią zdobyć samodzielnie w określonych studiach niezbędne minimum wiedzy retorycznej. Pozostali odczuwają w praktyce zawodowej kłopotliwe swą niewiedzę w tym przedmiocie. Dlatego też uważam za wskazane, by:

— na studiach prawnych wprowadzić na V roku retorykę jako samodzielny przedmiot wykładowy, trwający przez okres, jeżeli nie dwóch, to jednego semestru. Student Wydziału Prawa obok minimum wiedzy specjalistycznej posiada także wstęp do wiedzy filozoficznej i socjologicznej, jak również podstawy logiki. Retoryka, która by poznała końcówkę swoje studia, nauczyłaby go jak nabywać tak żmudnie wiedzę w pełni wykorzystując w sposób prawidłowy wówczas, gdy nadarzy się sposobność do przemawiania, a prawnikowi takich sposobności nie brak.

— wykłady z logiki należy zmodyfikować, kładąc większy nacisk na semantykę, jako ten dział logiki, który bada ściśle znaczeniową wyrazów, oraz erystykę — jako naukę o właściwym prowadzeniu sporów.

— charakter zajęć szkoleniowych aplikantów prokuratorskich, adwokackich i sądowych powinien być bardziej rozszerzony w kierunku udostępnienia aplikantom jak najpełniejszej wiedzy w zakresie umiejętności przemawiania,

— prasa, radio i telewizja powinny poświęcać nieco uwagi zagadnieniom związanym z retoryką, poprzez fachowe publikacje i audycje,

— organizacje prawnicze i studenckie powinny popierać organizowanie procesów pokazowych, konkursów krasomówczych i dyskusyj w „klubach oratorów”.

Jestem przekonany, że przy odpowiednim wykorzystaniu swoich możliwości i zastosowaniu w swej działalności między innymi wyżej wymienionych, niewątpliwie nie wyczerpujących uwag, ich adresaci mogliby z większą pewnością nazwać siebie „współtwórcami cywilizacji swojego narodu”.

Stanisław Lautsch

PODOBNO jest aż dziesięć tysięcy sposobów „robienia pieniędzy... Mówią, że pieniądze nie zapewniają szczęścia? No to co, że nie zapewniają. Strasznie trudno żyć bez nich w czasach, kiedy zagospodarowuje się ostatnie skrawki romantycznych puzerów, w których odżywiają się korzonkami można było egzystować w skupieniu, z dala od grzesznie kuszących „Delikatosek”, „Galluxów”, komisów i... „Bristolów”. Argumentowawszy rzecz — jak się wydaje — dość przejrzyście, powracam do zadumy nad metodami zdobywania gotówki.

Osobiście zarabiam na życie w sposób jak najbardziej prymitywny, nie urabiający mi wśród znajomych opinii człowieka „z głową”. Ludzie „z głową” nie są „na etacie”, a przynajmniej nie stanowią on podstawy ich egzystencji! Kajam się więc, przepraszam i szukam wzoru do naśladowania. Takiego ze „smykalką”.

Owszem są, nawet sporo. Tylko że ostatnio do ich bujnych życiorysów coraz częściej „dochodzą” a to listy gończe, a to protokoły, a to nawet — Boże zmiłuj się — wyroki... Nie, nie lubię tego. Mam po prostu za mało cierpliwości i pogody ducha pozwalającej ze spokojem i ufnością oczekiwać na amnestię. Wolalby człowiek coś zupełnie pewnego, bezpiecznego, nie mniej jednak atrakcyjnego i intratnego...

Zdaje się, że mam. Zorganizuję sobie trzy — czteroosobowy zespół estradowo-satyryczno-wokalny. Znajdę sobie patrona. Może nim być „Estrada”, albo sam Wydział Kultury!

Ze „moi” wykonawcy muszą mieć kwalifikacje, egzaminy, dyplomy? A ci, których oglądamy na tużnach występów, mają? Naprawdę? Wszyscy?

Podobno jednak trzeba macierzyństwu Wydziałowi Kultury i Urzędowi Kontroli Widowisk „przedłożyć” program, teksty utworów...

No to co, to się „przedłoży”? Mało to jest wydrukowanych utworów? Jak zobaczę nazwiska: Żalucki, Marianowicz, Prutkowski, to chyba nie będą się czepiać, no nie?

Przejrżeli, nie kwestionowali. Przyłożyli pieczęć, podpisali.

z uwagi na problematykę i swoisty rodzaj dramatyczności.

Przez cały czas akcja toczy się w jednym pokoju, między trzema osobami, oraz między nimi a ich przeszłym życiem, bo pokój ów to słynne sarrrowskie „piekło”. Powstają konflikty między postaciami, będące konsekwencjami ich postaw życiowych, a także w nich samych, między oceną własną swojego życia a ocenami ludzi, którzy „tam” pozostali. W rezultacie wytwarza się wielka „niemożność” i wreszcie pada podstawowa teza egzystencjalistycznej teorii stosunków międzyludzkich: „Piekło to są Inni”.

Scenograf tego przedstawienia Michał Kamiński w bardzo interesujący sposób uniknął sztampy pudelkowej sceny, na jaką wydawałyby się skazywać go dyspozycje odautorskie. Ograniczył przestrzeń trzema bardzo śmiało i piaszczystymi, w tym samym stylu były również makiety mebli, tro-

chę się klócił z całością brązowy posąg na postumencie, dla akcji nieodzowny, ale artystycznie nieco z „inne parafii”.

Reżyseria Wojciecha Suwilly ożywiła spektakl dzięki dobrze rozwiązanej mu ruchowi scenicznemu i dobremu tempu przez cały czas przedstawienia; dokonano również sensownych skrótów.

A aktorzy? Grali bardzo różnie, momentami dobrze, czasem słabo, ale zawsze z przejęciem i świeżością. Najlepiej chyba wypadli: Hanna Tomaszewska — Stella kobieciątko-dzieciobójczyni, Waclaw Tkaczuk w roli Garcin, brutalna i tchorza, potem Jagoda Sereżyńska jako Inez, ucieleśnienie pragnienia zła. Aktorzy potrafili pokazać prawdę psychologiczną w momentach śpiew i nieuchwytną gorącą atmosferę, w której wychodziła na jaw prawda o człowieku.

Krzysztof Głogowski

Legalnie i optycalnie

Żeby umiał „zagaić” i kawał powieścić i atmosferę stworzyć. Więc tak:

— Dobry wieczór państwu! Serdecznie witamy przemilą publiczność w Piekutkowicach. Na początku przeproszę za zmiany w programie. Tak więc w dzisiejszym programie nie wystąpią niestety zapowiedziani afiszem Mieczysław Fogg, Jerzy Ofierski, Hanna Bielicka i Violetta Villas. Miejsmy nadzieję, że również dobrze będą się państwo bawić przy udziale ich nagłych zastępców: Franciszka Nogi, Adama Grzyby i Ludwika Buraczko. Konferansjerki nie poprowadzi też spodziewany Zenon Wiktorczyk, na którego miejscu mają państwo przyjemność oglądać Anastazego Garnczoka. Korzystając z tego, że nasza przemila koleżanka przebiera się do piosenki „Guarda che luna...” opowiem państwu...

I opowiada. Co? Nie powtórzę, bo i tak nie uwierzycie, że taki i dociup mógł przejść przez cenzurę. Bo też i nie „przechodził”. Konferansjerka to bardzo często, proszę was, improwizacja. To taki element programu, który umyka każdej kontroli. Sprytny i przytomny konferansjer doбира dociupy w zależności od tego, jaką publiczność widzi na sali. Powiadacie, że ważna też rzecz poczucie smaku samego konferansjera? Pewnie, że ważna. Ale przecież zapowiadaliśmy już, że to nie Wiktorczyk.

A w ogóle to czemu podnosicie wrzask, że to szmira i skandal.

Przecież najzupełniej legalna, niekaralna i... optycalna, aha!

Zoil z Wólki

HERBY ZBIERACZY i MIŁOŚNIKÓW KSIĄŻKI

JEDNYM z romantycznych rodzajów grafiki jest znak książkowy nazywany ex-librisem. Odnosi się do starożytności. Udąło się ustalić, że jeden z faraonów egipskich zaopatrywał w swój znak zbiory papyrusów.

Na przestrzeni wieków znak ten przeszedł ewolucję w kierunku artystycznym — najznakomitsi graficy opracowywali różnorodne wzory.

Książka zaopatrzona w ex-librisa była jakby biletem wstępowym jej właściciela, mówiła o jego kulturze i zamiłowaniu. Nazwiska wielu ex-librisistów (bo tak nazywamy amatorów tego typu znakowania książek) znane są szeroko, nawet poza granicami własnego kraju, jeśli zbiory ich wróciły ogólną uwagę.

Współczesność do popularności ex-librisa przyczyniła się użytkowa kolekcjonerstwo i wymiana międzynarodowa. Ex-libris, romantyczny znak graficzny, będący jakby przybranym herbem miłośnika i zbieracza książek, stał się obecnie nawet obiektem spekulacji podobnie jak znaczek pocztowy.

Czy przy obecnym wielkim rozwoju grafiki stosowanej w ogóle, a książkowej specjalnie, ex-libris zaniknie, czy może ulegnie ewolucji i nabierze innego, bardziej społecznego, gromadzińskiego charakteru, odpowiadającego bardziej potrzebom czasu?

Zagadnienie to i wiele innych związanych z tradycją ex-librisa nasświetlił podczas ciekawego pokazów prof. Henryk Zwolakiewicz. Pokaz odbył się 28 marca br. w sali klubowej Lubelskiego Domu Kultury.

Prof. Henryk Zwolakiewicz jest znanym plastykiem i nie mniej znanym zbieraczem ex-librisów.

Swoją ciekawą prelekcję zilustrował paruzet ex-librisami, które w formie jednodniowej wystawy-pokazu uprzątnął w Lubelskim Domu Kultury. Był to jeden z ciekawych wieczorów klubowych. W historii ex-librisów lubelskich był to czwarty kolejny publiczny pokaz (pierwszy miał miejsce w 1927 r.).

Na pokaz i prelekcję przyszło kilkadziesiąt osób — znakomitą większość stanowią młodzież.

Prof. Henryk Zwolakiewicz jest właścicielem około tysiąca ex-librisów z różno krajowych, jak i zagranicznych. Dobrze by było, aby w naszym mieście zorganizować dużą wystawę ex-librisów, która zapoznałaby współczesną publiczność lubelską z tak trochę ekskluzywną, ale niezmiernie ciekawą dziedziną plastyki.

(w)

MEMENTO VIVERE

WIELE osób, które otrzymały zaproszenie od kierownika Dzielnicowego Domu Kultury Lublin ZOR-Zachód na wieczór autorski grupy poetyckiej „Kiwi”, nie przyszło, wietząc w tej imprezie prymaprylisowy żart. No bo i grupa nazywa się „Kiwi” (tak jak znana pasta do butów), no i polski czasownik kiwać, co w rodzinnym slangu znaczy nabierać, naciągać, oszukiwać... no i impreza w dniu 1 kwietnia...

Wielu zaproszonych obracało w rękach zaproszenia... i nie poszło. A szkoda. Ci, co odwrótnie wkroczyli do efektywnej sali klubowej DDK ZOR-Zachód, bynajmniej nie pozostawali swojej odwagi. „Kiwiści”, a wraz z nimi przemila kierowniczka p. Bożena Drwalowa, przygotowali ciekawą imprezę o podłożu z lekką kabaretowym. Oczywiście mowa o kabarecie literackim.

Słowo wstępne, jakbyśmy to tradycyjnie nazwali, wygłosiła p. Drwalowa, wprowadzając gości w sedno widowiska po czym zespół recytatorski, przygotowany przez instruktorkę p. Halinę Machulską, wyrecytował nowoczesne utwory poetów „Kiwi”.

Ilustrację muzyczną dał p. Andrzej Zmirodzki.

Z kolei zaczęła się dyskusyjna ocena utworów. Szereg wypowiedzi wskazywał, jak każdy z dyskutantów ustosunkowany jest do poezji w ogóle, a do nowoczesnej, tej z posmaczkami awangardowo-abstrakcyjnym w szczególności.

Po dyskusji rozsunęła się na scenie kurtyna i ukazał się autorzy. Dwaj młodzi sympatyczni chłopcy w ciemnych okularach i czarnych swetrach trzymali w rękach transparent z napisem: grupa poetów Kiwi.

Zdradzili oni sekret swego twórczego warsztatu. Jest on bardzo prosty. Biorą książkę, gazetę lub jakiś inny druk, zamakają oczy, po czym na ślepo stawiają palec wskazujący na tekście. To co uod palcem się znajduje, przepisują oczywiście urywkowo, zestawiają kolejne i wiersz gotów.

Na wieczór autorski poszły fragmenty z „Pana Tadeusza”, „Dziadów”, z utworów Krasińskiego i in. Rezultat znakomity. Na pewno Przybós, ani Białoszewski, ani mistrz Różewicz nie powstydziliby się tych wierszy.

Był to kawał prymaprylisowy, ale w bardzo dobrym gatunku. Wieczór ten powinien zainaugurować... powstanie młodzieżowego kabaretu, niech mu będzie... „Kiwi”.

Może Wrocław, może Gdańsk, powinien móc i Lublin.

Na zakończenie „Kiwiści” podejmowali swych gości lampką wcale dobrej kawy. Czekamy na dalszy ciąg.

W. G.

TWÓRCZA KONFRONTACJA

(Dokończenie ze str. 10)

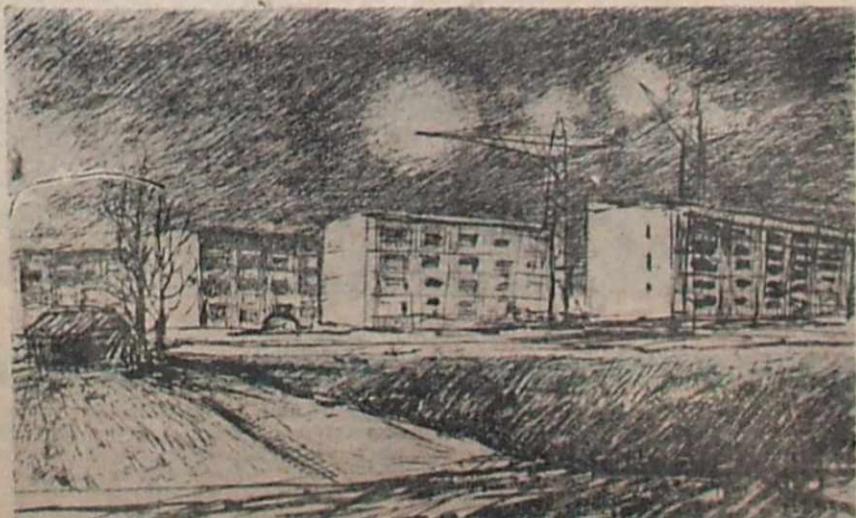
także cykl Z. Podciechowskiego (Lublin) „Brygada śmierci”, serigrafie o dużym ładunku dramatyzmu. Subtelne w formie i kolorystyce są tusze I. Wojnickiej-Markielowskiej z Rzeszowa („Wiosna” III, IV), podobnie jak niewielka monotypia W. Markiewicza z Kielc — „Kwiaty”, oraz monotypie T. Boloza (Białystok) — „Rybczy”, „Sprzedawca wenecki”.

To z konieczności skrótove omówienie i Wystawy czterech województw, pierwszej w ramach współpracy kulturalnej, wskazuje na współistnienie wielu odmiennych tendencji twórczego obrazowania i na wyrównany poziom lepszych realizacji.

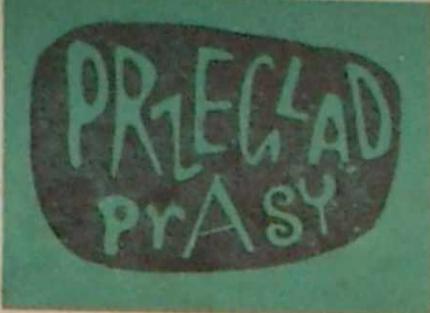
Po zamknięciu wystawy w Lublinie ekspozycja zostanie przeniesiona do Białegoostoku, Kielc i Rzeszowa.

Pod adresem odpowiedzialnych instytucji należy skierować prośbę o częste organizowanie wystaw i spotkań twórców, które najbardziej przyczyniają się do zacieśnienia współpracy.

Ireneusz Jan Kamiński



Adolf Jakubowicz: „Cztery perspektywy miasta” (II) — tusz. III nagroda w konkursie „Miasto w którym żyjemy”.



niego może rozgłosu, znowu jakoś ci cho.

Na zakończenie — dłuższy cytat z *Polityki* (nr 13) ze wstępnego artykułu „Spójrzmy na zegarki!”:

„To się tylko tak zdaje, że nasz czas dzieje się na czas pracy i czas wypoczynku, lub inaczej: czas obowiązków i czas przyjemności. W rzeczywistości głównym pozeraczem życia jest ten trzeci — czas marnowany. Przeliczywszy jego ilość nie jeden z nas doszedłby do smutnego wniosku, że mogłoby być dwukrotnie, gdyby nie trwonili swojego czasu i gdyby inni mu go nie marnowali. Dodałmy: gdyby każdy z nas nie marnował go innym.

Prawo w Polsce karze za zabieranie drugiemu człowiekowi jego życia. Jego zdrowia, owoców jego pracy. A przecież praca — to jak uczył Marks — nie innego niż uprzedmiotowiony czas. A przecież czas równa się życiu. Mimo to kradzież czasu jest bezkarna (...).

W naszym kraju pieni się rabunkowa gospodarka czasem. Nie istnieje społeczna kultura wykorzystywania czasu. Oszczędzanie surowców, oszczędzanie pieniędzy czy innych rzeczy materialnych jest tytułem do chwały. Tylko nie oszczędność czasu. A przecież ta ostatnia jest podstawą wszelkiej innej oszczędności”.

Nowa inicjatywa *Polityki* — „Spójrzmy na zegarki!” — trafia w sedno bardzo istotnego problemu. Obyśmy dzięki niej częściej spoglądali na zegarek.

TK

KULISY TEATRU

KULISY teatru są dla przeciętnego widza tym „owocem zakazanym”, który budzi ciekawość, moc domysłów, a nawet plotki.

Edward Hartwig porusza się tam swobodnie i to z nieodłączną kamerą fotograficzną, obsługiwana przez mistrzowskie ręce i kierowana przez uczulone oczy świetnego znawcy tych spraw. Obiektyw E. Hartwiga rejestrował tylko prawdę, poddana dodatkowej syntezie, pomijając sytuacje nietypowe i przypadkowe dla tej „kuchni” teatru. Artysta uniknął taniego efekciarstwa narzucającego się właśnie w tym egzotycznym dla nas świecie. I dlatego, prace te przemawiają do odbiorcy szczerością i autentyzmem.

Pewna wielkie opowiadanie, nie piórem, ale kamerą pisane. Celowo użył tu określenia — opowiadanie, bo „kulisy teatru” E. Hartwiga czytamy przewracając kolejno jak kartki fotogramy, zachowując ciągłość myśli.

Dobrze, że autor nie zaopatrzył poszczególnych prac podpisami. Są one tutaj zbędne, co więcej — odwracałyby uwagę przy „czytaniu” tego dzieła.

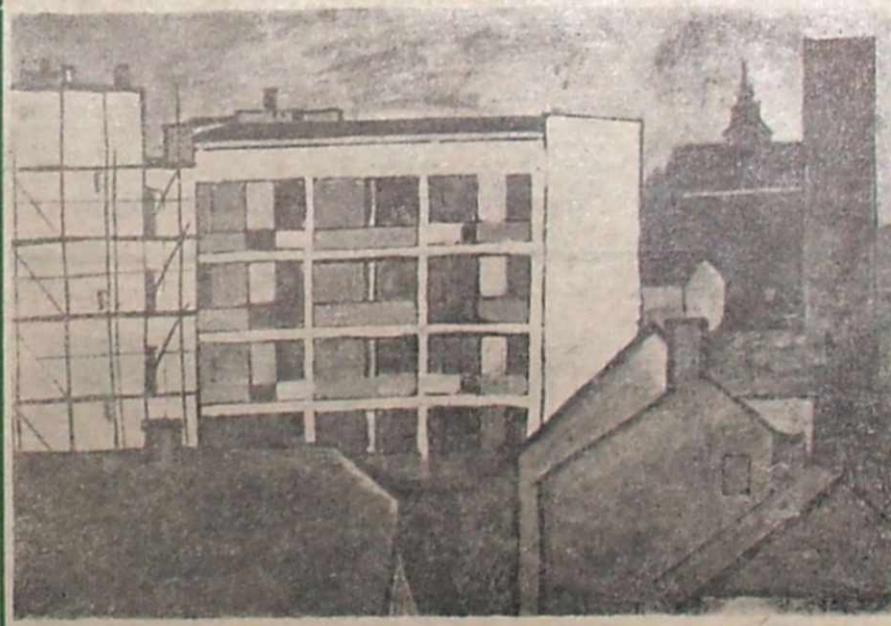
„Kulisy teatru” wystawione są w lubelskiej BWA.

Osobną salę BWA zajmuje ekspozycja kilkunastu prac E. Hartwiga nie związanych tematycznie z omawianą wystawą. A zobaczyć je warto, bo tu, obok ciekawych fotogramów z tzw. „lubelskiej serii”, jest kilka prac, o których ostatnio głośno za granicą. I tak: odkrywcze „Problemy” oraz Hartwigowska wizja wielkiego miasta („Gra przyszłości”) eksponowane w ubiegłym roku na II Międzynarodowym Biennale w Paryżu i ciekawie podane „Ufarte drogi” (Jubileuszowa Wystawa NAFU w Amsterdamie).

Andrzej Polakowski

RZESZOWSKIE WYSTAWY

Helena Niemczak-Mujewska „Nowe bloki” (olej), III nagroda w konkursie „Miasto w którym żyjemy”.



Helena Niemczak-Mujewska „Nowe bloki” (olej), III nagroda w konkursie „Miasto w którym żyjemy”.



Scenografia na wystawie

WYSTAWA scenografii Ryszarda Kuzyszyna jest pierwszą tego typu wystawą w Białymstoku i inicjatywą jej zorganizowania zasługuje na pochwałę. Należy przy tym cieszyć, że ujawniła się jeszcze jedna sala, mogąca zupełnie śmiało służyć celom wystawienniczym, jaką jest palarnia w Teatrze im. Al. Węgierki. Mielimy więc nadzieję, że Teatr nie poprzestanie na tej jednej wystawie, lecz zorganizuje następne związane tematycznie z teatrem (np. wystawy fotografii teatralnej, plakatów itp.), lub zprosi w gościnę plastyków, którzy — jak nam wiadomo — walczą ciężko o sale wystawowe. W foyer teatru malarstwo, grafika, czy rzeźba nie będzie obcym wtrętem i z powodzeniem może spełnić rolę dekoracyjną.

Wystawa Ryszarda Kuzyszyna obejmuje kilkanaście planów z projektami scenograficznymi i fotografiami oraz projektami poszczególnych kostiumów. Są to projekty, które były już realizowane w publiczności białostockiego teatru miała okazję widzieć, jak sprawdziły się w realizacji. Kilka przedstawionych projektów było wykonanych i realizowanych w latach poprzednich w teatrach: Polskim w Białymstoku i Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Wystawa daje więc retrospektywny wgląd w całokształt scenograficznej twórczości artysty. A jest to twórczość nie uboga. Na wystawie widzimy szereg projektów, z których na najwyższą ocenę zasługują bez wątpienia opracowania scenograficzne następujących

szuk: „Farsz o mistrzu Piotrze Patelimierze”, „Zaklinacz deszczów” — Nasha, „Niemcy — Kruczkowski”, „Caligula” — Camus, „Najazd” — Leonowa, a wreszcie „Ostatni brat” — Drozdowski (sztuka wystawiana obecnie w białostockim teatrze).

Cechą charakterystyczną dekoracji Kuzyszyna jest logiczna zabudowa sceny, dająca swobodę ruchu aktorom, a zarazem trafne podkreślenie atmosfery sztuki. Kuzyszyn chętnie używa światła, które jest ważnym elementem jego dekoracji. Niestety, ten element jest trudny do wydobycia na wystawie, na której pokazuje się jedynie rysunki i to w stałym, jednolitym oświetleniu.

Całość wystawy robi przyjemne wrażenie dzięki lekkim stelazom i dobrej aranżacji J. W. Brzozy.

Na koniec wypada kilka słów poświęcić autorowi: Ryszard Kuzyszyn urodził się w Sanoku w 1927 r. w r. 1955 ukończył studia na Wydziale Scenografii Akademii Sztuki Pięknych w Krakowie. Pracował w Teatrze Polskim w Białymstoku i Teatrze Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Wreszcie od 1961 r. jest zatrudniony w Teatrze im. Al. Węgierki w Białymstoku, gdzie dał się poznać jako zdolny i ciekawy scenograf.

Na zakończenie należy wyrazić ubolewanie z powodu nie zachowania się zniżej maskiety dekoracji. Ich brak na wystawie daje się wyraźnie odczuwać.

Z. Ryc

KRONIKA KULTURALNA

BIAŁYSTOK

W BIAŁYMSTOKU ODBYŁO SIĘ SPOTKANIE białostockiego aktywu autorskiego „Kamień” z redaktorem naczelnyim Marią Bechazy-Rudnicką. W spotkaniu wziął udział wiceprzewodniczący PWRN, mgr Gabriel Gurtowski i kierownik Wydziału Kultury, Franciszek Stoczkowski. Omówiono zasadnicze kierunki współpracy na łamach pisma w Roku Ziemi Białostockiej.

DUŻE ZAINTERESOWANIE wzbudził wydany ostatnio pierwszy tom monografii „Dzieje Łomży”, opracowanej przez Donatę Godlewską.

W BIAŁYMSTOKU obradowało plenum Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich. Tematem obrad były zadania TRZZ w Roku Ziemi Białostockiej.

W HAJNOWCE odbył się popis uczniów Społecznego Ogniska Baletowego.

KIELCE

WE WSZYSTKICH KIELECKICH SZKOŁACH odbyły się eliminacje do IV Olimpiady Szkolnych Lig Quizowych. Eliminacje wojewódzkie odbędą się 21 kwietnia.

LENA DASZEWSKA, prawniczka malarza batalisty Józefa Brandta, wystawiła swoje obrazy w lokalu Rozgłośni Polskiej Radia w Kielcach.

PREZYDIUM WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ, Komitet Wojewódzki ZMS, WKRTIT oraz Świętokrzyskie Towarzystwo Fotograficzne w Kielcach ogłosiły I Ogólnopolski konkurs fotografii turystyczno-krajoznawczej dla amatorów pod hasłem: śladami turysty po Kielecczyźnie.

W KIELCACH obradowało Plenum Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli.

LUBLIN

Z INICJATYWY SARP odbyło się w Lublinie spotkanie architektów z Białostoczczyzny, Kielecczyzny, Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny.

4 KWIEŹNIEM odbyło się Plenum KW ZMS poświęcone udziałowi młodzieży w kulturalnej i gospodarczej aktywizacji małych miasteczek.

7 KWIEŹNIEM Muzeum Lubelskie po kilkumiesięcznej przerwie, spowodowanej remontem i zmianami ekspozycji, udostępniło swe zbiory społeczeństwu. Kontynuując tradycje wystaw okresowych Muzeum zorganizowało wystawę plócen Olgi Boznańskiej i wystawę sztuki ludowej.

W ROKU AKADEMICKIM 1963/64 na UMCS można będzie studiować fizykę również zaocznie.

ZASŁUŻONY DZIAŁACZ KULTURY kierownik PDK w Parczewie Feliks Janik po 15 latach pracy odszedł na emeryturę. Jest on pierwszym emerytem kadry PDK w województwie.

RZESZÓW

DANUTA BIENKOWSKA spotkała się ostatnio z bibliotekarzami i księgarzami, inaugurując w ten sposób kontakty ZG ZLP z rzeszowskim środowiskiem kulturalnym.

MIĘDZYKRAJOWY DZIEŃ TEATRU uczcił Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie poprzez zorganizowanie szeregu ciekawych spotkań w środowiskach robotniczych i wiejskich. W trakcie spotkań ludzie teatru zapoznali społeczeństwo z kierunkami współczesnej dramaturgii, omówili zadania stojące przed tą ważną placówką upowszechniania kultury.

W JASLE powstało pierwsze Foto Miłośników Teatru. W planie przewidziane są spotkania i dyskusje na temat oglądanych sztuk.

10 JUŻ LAT wychowuje i bawi Młodzieżowy Ośrodek Prac Pozalekcyjnych w Rzeszowie. Popularny MOPP przygotowuje z okazji swojego święta specjalny program artystyczny, z którym wystąpi w dniach 20 i 21 kwietnia br.

Unia

Literatura polska ponosi nowe, nieodniawiane straty. 29 marca zmarła wybitna pisarka Pola Gojawiczyńska. Jej przedwojenne książki „Ziemia Elżbiety”, „Dziewczęta z Nowolipek” i „Rajska jabłoń” należą do najlepszych książek tamtego czasu, a „Krata” stanowi jeden z najciekawszych dokumentów literackich „czasów pogardy”. Prasa codzienna i literacka poświęca odeszłej pisarce wiele uwagi. **Przegląd Kulturalny** (nr14) wskazuje na jej przynależność do nurtu zwanego „małym realizmem”:

„Poczucie określonej misji społecznej literatury, wiara w to, iż są ludzie, którym literatura jest potrzebna w sposób najprostsz, jak chleb, że aby tej potrzebie sprostać, trzeba odnieść się do przeciętnego wymiaru życia, w którym bytuja ci, którzy nie są ani bohaterami, ani ideologami. Peryferie? Zapewne. Peryferie społecznego życia, peryferie sztuki, peryferie myśli... Książki Gojawiczyńskiej należąć będą do żelaznego kapitału literatury polskiej. Ilekroć robi się duszno w klimacie literackim, ilekroć rzeczywistość nie da się uchwycić, pojąć, uformować, tylekroć sięga się po zelaną kapital owej kontynuacji realistycznej, której najlepszą szkołę zaprezentowała zmarła pisarka”.

W Nowej Kulturze ciepłe wspomnienie poświęca Gojawiczyńskiej Lesław M. Bartelski. Przypomina jej trudną drogę życiową i pisarską, podkreśla fakt, że prawdziwą miłością pisarki była Warszawa, czego dowodem jest „Stolica” i „Dziewczęta z Nowolipek”:

„Młodość własna, odtworzona z taką sumiennością w postaciach tych dziewcząt z Nowolipek, potrafiła ukazać z niezwykłą sugestywnością; nie miała ta młodość nic z ośnienia światem, nie była azyłem przed okrucieństwem życia, była szara i nieopiętna, pachniała stolarskim klejem i stęchłą suteren, zamykała się w kręgu najbliższych, kręgu, który trudno było przekroczyć. Walor artystyczny tego obrazu części miasta wspierał jego wartość poznawczą. Warszawa dziewcząt z Nowolipek odeszła wraz z pożarami Września i powstania warszawskiego, pozostała natomiast na kartach pięknych książek Poli Gojawiczyńskiej”.

W Kierunkach o P. Gojawiczyńskiej pisze Stanisław Mackiewicz w artykule „Rodowód zmarłej pisarki”, doszukując się go w twórczości Flauberta, Balzaca i Bolesława Prusa.

Przegląd Kulturalny przynosi poza tym szereg interesujących materiałów: reportaż dnia B. Czeszki „Na wsi przedwojennej” oraz omówienie książki Stefana Żółkiewskiego „Przepowiednie i wspomnienia” (pióra M. Czerwińskiego) i J. Chałasińskiego „Kultura amerykańska” (pisze o niej ciekawie i entuzjastycznie J. Strzelecki). Godną zastanowienia jest też wypowiedź J. Bardacha pt. „Polska prawda historyczna”. Autor dowodzi, że dwa cele nauczania historii: dostarczanie prawdziwej wiedzy o przeszłości i wykorzystanie tej wiedzy dla kształtowania świadomości młodzieży nie są ze sobą sprzeczne.

Pisze Bardach:

„Jestem może optymistą, ale mam głębokie przekonanie, że nauczanie historii oparte na założeniach materializmu historycznego ma wszelkie warunki, by tę pozorną sprzeczność rozwiązać”.

Do spraw szkolnictwa i nauczania powraca Nowa Kultura (nr 14), kontynuując dyskusję o polonistyce. Szczególnie interesujący materiał dyskusyjny przynosi artykuł Barbary Muszaneki pt. „Na rozdrożu”. W tym samym numerze czasopisma zwraca uwagę reportaż F. Sylwiańskiego „Lekarz”. Bohaterem jego jest Jerzy Bogdan Kos — lekarz, poeta, działacz, mieszkający obecnie w Trzebnicy koło Wrocławia. Jeszcze jeden przykład, ile może zdziałać własnymi siłami młoda inteligencja w tzw. terenie. Także dowód, że pojęcie prowincji staje się anachronizmem. Znajdujemy tu również potwierdzenie racji istnienia towarzystw regionalnych, o których, po okresie zbyt-